Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

CENA 60 GR.

Nr. 2 LUTY 1934 r. Rok X

MŁODA MYŚL LUDOWA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RUCHU LUDOWEGO

REDAKCJA ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZOPENA 16 m. 20. Tel. 8.93-50. Konto P.K.O. 8.636.

STANISŁAW MICHALSKI

KREW I ZIEMIA
CZYLI HITLEROWSKA REFORMA ROLNA

Minął rok od chwili objęcia władzy w Niemczech przez narodowy socjalizm na czele z Adolfem Hitlerem. Europa zdążyła się już oswoić z faktem powstania trzeciej Rzeszy Niemieckiej, stanowiącej przeciwieństwo Niemiec demokratycznych, w których pierwsze skrzypce trzymali socjaliści. Narodowy socjalizm zdołał zgnieść doszczętnie całą opozycję, od komunizmu do czarnej reakcji, metodami wypraktykowanemi w innych państwach, uczynić z własnej doktryny obowiązującą religję dla mas, które, trzeba to przyznać, wierzyły w hasła, głoszone przez przywódców z wielką siłą przekonania, szczerością i odwagą. Siła hitleryzmu leży nie w rozumowym, konsekwentnym, ale zimnym planie przemian ustrojowych, lecz raczej w tworzeniu pewnej legendy, mitu społecznego, o zabarwieniu mistyczno-religijnem, silnie uczuciowem, przez to zdolnem do przyciągnięcia szerokich mas. Tym mitem jest idea posłannictwa dziejowego narodu nie-

mieckiego, wyższości rasy germańskiej nad innemi rasami ludzkiemi. Narodowy socjalizm jest ponadto ideą walki z demokracją parlamentarną, marxsizmem i komunizmem, wszelkiemi czynnikami rozkładu moralnego narodu niemieckiego, wreszcie walki z traktatem Wersalskim, który dla Niemiec jest narodową hańbą. Narodowy socjalizm jest walką o nowego ducha w dziejach Niemiec, ducha bohaterstwa, poświęcenia jednostki na rzecz dobra narodu. Praktycznym wyrazem jest militaryzm, urządzanie życia zbiorowego na modłę wojskową. Dziś ludzie w Niemczech — jak ktoś powiedział — nie chodzą, ale maszerują, nie dyskutują, ale przemawiają, nie cieszą się beztrosko, ale wiwatują.

Program społeczny narodowego socjalizmu, przynajmniej w obecnej chwili, jest dość niewyraźny, mgławicowy, niejako w okresie formowania się. Jedynie na odcinku rolniczym, o którym mamy zamiar pomówić, zdołano w ostatnich czasach, powołać nowe formy, nietylko sprzeczne z dotychczasowym stanem rzeczy w Niemczech, ale wywołujące również duże zainteresowanie poza granicami Niemiec. Może to być nawet niepokój,— myślę specjalnie o Polsce, — ponieważ hitlerowski program rolny może stanowić przykrą dywersję dla demokratycznych programów t. zn. podważenie tych programów od tyłu, skąd najmniej spodziewają się natarcia, przez wejście na tereny działań demokratycznych programów, które nie zdołały zawładnąć niepodzielnie życiem zbiorowem i nie są zdolne przeciwstawić równie odważnego, porywającego masy programu.

Zapoznajmy się pokrótce z zasadniczemi ideami hitlerowskiego programu rolnego.

Punktem wyjścia jest idea stanowości, jako przeciwstawienie dotychczasowemu systemowi liberalnemu, pogoni za zyskiem, spekulacją, jako narzędzie przebudowy organizacji społeczno-gospodarczej w kierunku podporządkowania całości życia zbiorowego najwyższemu celowi, jakim jest państwo. Ideą państwowej organizacji stanowej narodowy socjalizm pragnie przywrócić w współczesnem życiu panowanie czynników idealnych, którym musi być podporządkowane życie gospodarcze. Organizacja stanowa narazie została stworzona tylko w rolnictwie, o czem będzie bliżej mowa dalej. Jej celem jest nietylko podniesienie stanu chłopskiego pod względem gospodarczym, ale przedewszystkiem cele jej są idealne, moralne, a w pierwszym rzędzie rasowe. Minister Wyżywienia Rzeszy Darré twórca programu rolnego Niemiec hitlerowskich, oświadczył, że podnosząc stan rolniczy, miał na celu nietylko dobro materjalne, ale także ożywienie kultury chłopskiej, że wbrew teorjom liberalnym, które w ziemi widziały tylko czynnik produkcji, ziemia jest również czynnikiem twórczym osobowości duchowej. Ziemia nie jest towarem. Gospodarstwo nie jest li tylko wytwórnią produktów rolniczych.

Stan chłopski ma być podstawą odrodzenia narodowego Niemiec. Sam wódz (Führer) Adolf Hitler oświadczył, że ruina chłopstwa niemieckiego oznaczałaby koniec narodu niemieckiego. Trzeba tu przypomnieć, dla lepszego zrozumienia powyższych haseł, że ludność Niemiec nie wykazywała takiego przyrostu jak np. w Polsce, przyrost ten stale malał, oraz że ludność chłopska stale zmniejszała swój udział procentowy w całej ludności Niemiec na rzecz miast. Ta urbanizacja i proletaryzacja ludności groziła narodowi niemieckiemu poważnemi szkodami, jak zwyrodnienie rasy, upadek moralności publicznej a panowanie przewrotnej rozpusty,

z której Niemcy powojenne były znane, zmaterjalizowanie, cynizm,—a przedewszystkiem proces ten osłabiał siłę obronną Niemiec. Dlatego Hitler oświadczył, że celem walk narodowego socjalizmu nie są podboje obcych ludów, lecz zapewnienie trwania narodowi niemieckiemu. Temu celowi służyć ma podniesienie stanu chłopskiego, jako tego, który żywi ludność i utrzymuje naród przez wysoką rozrodczość. Jeszcze raz należy podkreślić, że zainteresowanie się narodowego socjalizmu chłopem niema jako zadania podniesienia jedynie jego stanu gospodarczego, ale przedewszystkiem traktuje się go jako narzędzie odrodzenia narodowego Niemiec, zagrożonych w swoich podstawach przez nadmierne uprzemysłowienie i sproletaryzowanie, będące przeciwieństwem spokoju i ładu społecznego, który można osiągnąć wyłącznie w oparciu o dobrze zorganizowany, zdrowy stan chłopski. Ziemia i krew chłopska mają stanowić siły rozwoju narodu niemieckiego. Temu tajemniczemu i nieokreślonemu związkowi między ziemią i krwią, i ich wpływowi na życie narodu, poświęcono w Niemczech dużo rozważań, publikacyj, nawiązujących do tradycji starogermańskiej. Znalazł się nawet uczony doktór, który wywodził, że krew każdego człowieka jest uwarunkowana przez składniki mineralne i organiczne dostarczone przez pożywienie, a w dalszej konsekwencji, ziemię; cały aparat współczesnej wiedzy medycznej i przyrodniczej uruchomił dla potwierdzenia założeń hitleryzmu.

Po tych ogólnych uwagach, należy pokrótce przedstawić prawną realizację programu chłopskiego. Chodzi tu głównie o ustawy, wydane we wrześniu 1933 r., a dotyczące: 1) organizacji niemieckiego stanu rolniczego (żywicielskiego), 2) cen stałych zboża chlebowego, 3) zagród dziedzicznych. Niemiecki stan rolniczy (żywicielski) obejmuje również leśnictwo, ogrodnictwo, rybołóstwo i polowania, spółdzielnie rolnicze, handel produktami rolnemi. Jest to organizacja o charakterze prawno-publicznym, wyposażona przez państwo w szereg uprawnień z dziedziny administracji gospodarstwa rolnego, jak również ma spełnić rolę samorządu gospodarczego, jakkolwiek forma powoływania organów stanu urąga wszelkim utartym poglądom na istotę samorządu. W organizacji stanu rolniczego panuje hitlerowska zasada hierarchji i dyscypliny, t. zw. Führerprinzip (zasada wodza). Na czele stanu stoi przywódca (Reichsbauernführer — przywódca chłopstwa niemieckiego) — przy nim urząd sztabowy i rada, której członków zatwierdza sam przywódca. Równolegle z tem istnieją organy własnej administracji stanu (samorządu), pod przewodnictwem naczelnika, składające się z 4 działów, a kierownik każdego działu posiada radę przyboczną, złożoną z 10 fachowców. Podobną jest organizacja niższych jednostek terytorjalnych stanu (okręgi, obwody): każda z tych jednostek posiada mianowanego przywódcę z aparatem zarządzającym i doradczym, oraz organy samorządu, również powoływane przez Rząd.

Przywódcą włościaństwa Rzeszy zamianował Minister Wyżywienia i Rolnictwa Rzeszy, Darre, siebie.

Drugą grupę stanowią ustawy dotyczące produkcji i cen zbóż chlebowych. Jak to później, przy omawianiu ustawy o włościach dziedzicznych, jeszcze wyraźniej się okaże, celem Rządu jest zabezpieczenie rolnictwa przed dotkliwemi skutkami wolnego handlu, nieodłącznych od niego kryzysów, zmian, nieraz bardzo głębokich, w cenach zbóż. Minister Wyżywienia i Rolnictwa został upoważniony do regulacji zużytkowania kra-

jowego żyta i pszenicy. W tym celu służy mu prawo łączenia z sobą młynów, regulowania i dopuszczania młynów do ruchu, zakładania nowych, oznaczania ilości zboża, jaką poszczególne młyny mają kupować i przerabiać, wreszcie oznaczania ceny zakupu tych zbóż i przetworów młynarskich. Również ustalono stałe ceny na zboże, które wynoszą 140—158 marek niemieckich (około 294—332 zł.) za tonnę żyta, 175—193 marek niemieckich za tonnę pszenicy zależnie od okręgu. Są to ceny zasadnicze. Podwyższają się one zależnie od miesiąca, w którym ma nastąpić dostawa zboża. Podwyżki te wynoszą od 1 marki w listopadzie w 1933 r. do 18 marek w czerwcu 1934 dla żyta, od 1 marki do 13 marek dla pszenicy. Za przekroczenie tych przepisów grożą surowe kary: więzienie, grzywna do nieograniczonej wysokości, utrata czci i nadzór policyjny.

Wreszcie trzecią grupą jest ustawa o zagrodach dziedzicznych. W całości ustaw rolnych jestto ustawa bodaj najważniejsza, dotykająca podstawowych czynników gospodarstwa rolnego. Celem jest stworzenie wielkiej ilości zdolnych do życia małych i średnich gospodarstw. Zagroda dziedziczna nie może przekraczać 125 ha. W każdym razie obszar jej winien być taki, by mogła wyżyć i ubrać się jedna rodzina niezależnie od rynku i ogólno-gospodarczego położenia, jak również mogła się utrzymać na pewnym poziomie kultury gospodarczej sama zagroda. Przepis ten jest charakterystyczny, bowiem jako probierz wielkości zagrody przyjęto zdolność utrzymania rodziny, a nie zdolności produkcyjne, specjalnie obliczone na rynek zbytu, które powszechnie zostały uznane za mierniki gospodarcze. W zasadzie do zagrody dziedzicznej należą grunta stanowiące własność indywidualną chłopa. Obok gruntów częścią składową zagrody dziedzicznej stanowią: bydło, wszelki inwentarz, narzędzia, zapasy i t. p. Charakterystycznym dla myślenia narodowego socjalizmu i sposobu rozwiązania sprawy chłopskiej jest przepis ustawy, że przynależność zagrody stanowią pozatem dokumenty odnoszące się do zagrody, listy rodzinne, pochodzące z dawnych pokoleń, obrazy wartości pamiątkowej, rogi i t. p. przedmioty, odnoszące się do przeszłości zagrody i osiadłej na niej rodziny chłopskiej.

Tylko właściciel zagrody dziedzicznej nazywa się chłopem (Bauer), właściciel lub posiadacz innej posiadłości ziemskiej nazywa się tylko rolnikiem (Landwirt). Nazwa właściciela jest uwidoczniona w księdze gruntowej. Chłopem może być tylko ten, kto posiada niemiecką przynależność państwową, jest niemieckiej lub równej rasowo krwi. Nie jest niemieckiej lub równej rasowo krwi ten, kto po swoich przodkach po stronie ojca lub matki ma żydówkę lub kolorową krew. Te warunki ustala się w/g stanu w dniu 1 stycznia 1800 r. Chłop musi być nieposzlakowany. Ze śmiercią właściciela zagroda dziedzicznie przechodzi na spadkobiercę niepodzielnie. Pierwszeństwo po spadkobraniu przysługuje linji męskiej. Spadkobierca nie może wyłączać ani ograniczać kolejności dziedziczenia ustalonej prawem. Zobowiązania spadku łącznie z ciążącemi na zagrodzie hipotekami, długami gruntowemi i rentowemi są spłacane z istniejącego majątku poza zagrodą i do jego wysokości. O ile zobowiązania spadku nie mogą być w tej drodze spłacone, spadkobierca obowiązany jest wobec współdziedziców zaspokoić je osobiście i zwolnić od nich współdziedziców. Zagroda dziedziczna jest zasadniczo niezbywalna i nieobciążalna. Również nie wolno na zagrodzie dziedzicznej egzekwować żadnych roszczeń pie-

niężnych z wyjątkiem należności publiczno-prawnych (podatki, świadczenia, opłaty).

Jak z powyższego widzimy cechami charakterystycznemi zagród dziedzicznych są: 1) ograniczenie własności indywidualnej, 2) szczególne przepisy spadkowe, 3) ochrona zagrody przed roszczeniami pieniężnemi prywatno-prawnemi, 4) istnienie niezależne od zmiany właściciela, 5) wymóg specjalnych przymiotów od właściciela, 6) stworzenie nowej klasy rolników, uprzywilejowanych społecznie. Własność w świetle ustawy o zagrodach dziedzicznych jest raczej szczątkiem naszych pojęć o prywatnej własności a staje się niejako funkcją publiczną, wykonywaną pod osobistą odpowiedzialnością właściciela, nie popartą odpowiedzialnością materjalną zagrody, jako prywatnej własności. W zestawieniu z ustawami poprzednio omówionemi, stanowi ona wyraz dążności do uczynienia z zagrody dziedzicznej czynnika niezależnego od wszelkich praw gospodarczych usunięcia jej niejako z obrotu wewnętrznego. Dla nas te rzeczy mogą wydać się conajmniej dziwne, romantyczne, bowiem wsi polskiej brak gospodarczego rachunku, myślenia handlowego (w sensie dodatnim), gdy natomiast nadmierne uprzemysłowienie Niemiec zagroziło całkowicie istnieniu wsi, jako odrębnego czynnika równowagi społecznej.

Według słów W. Darre'go zagrody dziedziczne mają stać się przedewszystkiem komórkami odrodzenia rasowego narodu niemieckiego. „Handlowemu duchowi liberalizmu przeciwstawiamy naszą moralność krwi i ziemi".

Takby się pokrótce przedstawiały podstawowe idee hitleryzmu rolnego. Ocena tych idei jest równocześnie łatwą i trudną: łatwą, jeżeli używa się popularnych wypadów przeciw rasizmowi, opatrznościowej woli narodu i rasy niemieckiej, lub faszyzmowi, trudną, jeśli zechce przeciwstawić się jego programowi własny program rolny. Niewątpliwie hitleryzm posiada pozytywne strony, jak podkreślanie stale i wszędzie roli chłopa, jako czynnika ładu, pokoju i zdrowia społecznego i narodowego, przeciwstawianie pojęcia ziemi, jako współtwórcy człowieka i poglądu na świat, pojęciu liberalnemu ziemi, pomniejszonej do roli wyłącznie czynnika produkcji, jednak próba, podjęta przez hitleryzm, połączenia prywatnego władania ziemią z ogromnemi ograniczeniami tej własności w imię idealnych celów narodu i państwa, przedewszystkiem celów demograficznych, t. zn. zmierzających do pomnożenia ludności, zapewne będzie ulegać znacznym przemianom. W każdym razie jestto próba, której wyniki winniśmy śledzić bardzo pilnie, a przedewszystkiem raz jeszcze do gruntu przemyśleć nasz program rolny, obliczony na nasze, polskie stosunki, zgodny z naszą rzeczywistością, bowiem niema takich doktryn, które wszędzie wywoływałyby jednakowe rezultaty. Program rolny hitlerowski uzasadniony jest specjalnemi warunkami gospodarczemi i społecznemi Niemiec, wymagającemi stosowania odmiennych środków. Jedną tylko naukę rządy innych państw winny wyciągnąć z próby podjętej przez trzecią Rzeszę, zresztą nieodosobnionej w Europie: czas zwrócić się frontem do wsi.

MIKOŁAJ POLESZCZUK

KU LEPSZEMU JUTRU

W każdym ruchu społecznym powojennego okresu młodzież odgrywa ważką rolę. Z tej roli młodzież ludowa winna wywiązać się jaknajlepiej.

Rozważajmy więc punkt za punktem każde z wielkich zagadnień, jakie stoją przed nami, pamiętając jednocześnie o tem, że dynamika powojennych wypadków nie pozwala na marazm; że może jutro przyjdzie dzień, kiedy ostatnie słowo będzie należeć do nas i tylko do nas. Naszego dzieła czeka przedewszystkiem ujarzmiona wieś, w której stałym bywalcem jest komornik w asyście policjantów. Rzućmy naszym braciom młodą, zdrową myśl odrodzenia, o której zrealizowanie walczyć będziemy społem.

Ostatnie wakacje spędziłem na pieszej wycieczce, przebywając ponad osiemset kilometrów. Trasa biegła z Warszawy przez Dęblin, Lublin, Horochów do Krzemieńca, a z tamtąd przez Równe, Dąbrowicę, Kowel, Brześć n/B do Warszawy. Podróż ta dała mi możność zetknąć się bezpośrednio z chłopem, jak polskiej tak i ukraińskiej wsi. Obserwowałem bacznie życie wsi, rozmawiałem ze staremi i młodzieżą, zgłębiałem jaknajstaranniej jego przebogatą, a jednocześnie mało znaną psychikę. W każdej wsi, pod każdą strzechą spotkasz spojrzenie rozumnych oczu i odczytasz nieubłagane pytanie: — *co będzie? co robić?* — Musimy dać im odpowiedź na te pytania, ale decyzja musi być dość szybka, bo na zwlekanie nie pozwala nam historja, która okrutnie karze maruderów, jak ukarała już socjal-demokrację niemiecką, która mając władzę w ręku, mając cały wykonawczy aparat państwowy, pozwoliła się bez protestu zdziesiątkować i zagnać w obozy koncentracyjne, by wśród zasieków drucianych wolno konać. Również fakt agonji naszej P. P. S. i całej II-iej Międzynarodówki Amsterdamskiej musi być groźnem „memento” dla nas.

Na pierwszem miejscu znaleźć się winno zagadnienie *reformy agrarnej*. Kwestja ta jest jedną z najtrudniejszych do rozwiązania. Głowią się nad nią Sowiety, ujmując ją w ramy kolektywów i sowchozów; głowi się faszyzm włoski, operując pseudo-korporacjami; piętrzą się na tem polu olbrzymie trudności przed Hitlerem, którego minister rolnictwa Darre opracował plan przebudowy wsi niemieckiej. Projekt piękny, przewidujący zagrodę dla każdego wieśniaka, na podwórze którego ma nie mieć dostępu ani sekwestrator, ani policjant. Projekt ten jest po mistrzowsku dopasowany do zaborczej polityki Rozenberga, nieoficjalnego lecz faktycznego kierownika polityki zagranicznej III-ciej Rzeszy.

Dano narodowi niemieckiemu piękny program, wykonanie którego wobec konszachtów wschodnio-pruskich agrarjuszy i naturalnego braku ziemi, jest w 50% nierealny. Kanclerz liczy się z tem, że w chwili kiedy chłop zrozumie, że pomimo chęci wodza program nie może być wykonany, wówczas on—Hitler wykona wyreżyserowany, kusicielski gest i wskaże chłopom drogę realizacji po przez zabór ziem na Wschodzie leżących. Wówczas popchnięcie chłopa do nowej wojny o potęgę jedynej, boskiej rasy na świecie — rasy niemieckiej będzie znacznie ułatwione. Hitler słusznie rozumuje, że odebranie kolonij napotka na szalone trudności

z jednej strony, z drugiej strony natomiast utrzymanie tych wielkich, kolonjalnych masywów, leżących zdala od macierzy jest rzeczą nader trudną, zwłaszcza w okresie, gdy przez całą kulę ziemską tchnie nowy, ożywczy prąd wyzwalania się z pęt kulturalnej niewoli „białego brata" i dlatego w książce swej p. t. „Mein Kampf" — główny nacisk kładzie na hegemonję gospodarczą środkowej Europy i kolonizację Wschodu.

Francja i Anglja trwają przy swych dawnych formach agrarnych tylko dlatego, że posiadają olbrzymie terytorja kolonjalne, które im narazie pozwalają wszystkie bolączki budżetowe i inne pokrywać pracą swych kolorowych niewolników. Ale i kolonje złotodajnej Afryki nie są wieczne. Kiedyś murzyńskie zgięte grzbiety rozprostują się i żaden bat kulturalnego europejczyka nie zmusi „czarnego brata" do posłuszeństwa. Kiedyś wróg Anglji, fanatyk — Gandhi bojący się haseł rewolucji, zastąpiony zostanie innym „prorokiem", który uformuje pochód hindusów, uzbrojonych nie w garnki po sól, a w karabiny i granaty —

Rozszalały pożar wielkiej wojny światowej zapoczątkował nową erę i żadna ludzka siła nic uczynić nie zdoła wobec pochodu historji. Wybujały świat kapitalistyczny XIX-go i początku XX wieku zwolna kona. Żadne zastrzyki morfiny w postaci konferencji gospodarczych w Londynie, paktów 4-ch, dekretów oddłużeniowych i t. p. nie zdołają tego starca chorego podnieść z łoża konania. Przed niepodległą Polską, nie posiadającą kolonij, Polską, która nie dąży do okupowania cudzych ziem, rozstrzygnięcie kwestji agrarnej staje się rzeczą konieczną i sprawą być albo nie być.

Dziś może zawcześnie jeszcze będzie silić się nad rozwiązaniem olbrzymiego zagadnienia — formy własności prywatnej, czy spólnot. Stan naszej wsi wymaga natychmiastowego zabiegu, tym natychmiastowym zabiegiem musi być zaspokojenie głodu wsi — a gdy ten zastrzyk damy, wówczas nie od rzeczy będzie rozwikłać najtrudniejsze zagadnienie, jakie dziś coraz uporczywiej zarysowuje się na kanwie wielkich przeobrażeń — to zagadnienie formy własności.

Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego, wymagającego natychmiastowego zabiegu. Tym zabiegiem nie może być przeprowadzenie naszej „demokratycznej" reformy, głoszącej maximum posiadania na 180 do 300 ha plus tyleż ha na każde z osobna przedsiębiorstwo. Zabieg wymaga innej reformy agrarnej. Według statystyki oficjalnej mamy w Polsce około 34% gospodarstw karłowatych t. j. o powierzchni do 2 hektarów oraz 31% gospodarstw drobnych do 5 ha powierzchni — czyli 65% ogólnej liczby gospodarstw przypada na najbiedniejszą ludność wiejską. A na uwadze należy mieć fakt, że wychodźtwo z Polski w latach 1926 — 1930 wyrażało się cyfrą pół miljona osób. Parcelacja idzie żółwim krokiem, gdy w 1931 r. rozparcelowano 100 tysięcy ha, to w 1932-im niecałe 70 tysięcy ha. Ziemię musimy dać ludowi, a dać ją ludowi, to odebrać tym nielicznym, których włości ciągną się niejednokrotnie całemi kilometrami. Właścicielami tych włości są *panowie i kościół.* Że ziemię należy odebrać, o tem nie należy nawet dyskutować, natomiast należy zastanowić się nad pytaniem, czy uwłaszczenie wykonać z odszkodowaniem, czy bez odszkodowania? — Reforma rolna bez odszkodowania częściowo zrójnowałaby 20 tysięcy rodzin obszarniczych, reforma rolna z odszkodowaniem jest rzeczą niewykonalną ze względu na olbrzymie obciążenie skarbu pań-

stwa. Stoją więc przed nami dwie alternatywy albo wywłaszczyć bez odszkodowania a raczej z częściowem odszkodowaniem (faktycznie jednak z odszkodowaniem, gdyż stan zadłużenia majątków jest olbrzymi, a wywłaszczenie pociągnęłoby za sobą zrezygnowanie z olbrzymich zaległości podatkowych), albo z odszkodowaniem. Po jednej stronie reduty stoi 20 tysięcy rodzin obszarniczych, po drugiej stronie 20 miljonów chłopów, uginających się pod obuchem straszliwej nędzy. Uważam, że dyskusja nad wyborem formy odszkodowania, musi być krótka i stanąć na stanowisku *wywłaszczenia bez odszkodowania.*

Czem mamy płacić za ziemię, jeśli społeczeństwo jest nędzarzem? Z próżnego i Salomon nie naleje.

Tym zaś, którzy operują etyką pseudo-chrześcijańską odpowiemy, że stokroć gorszem złem jest pozwolić, by ginęły miljonowe rzesze chłopów; pozwolić by krew chłopska w bratobójczej walce zraszała ulice wsi, aniżeli zabrać ziemię tym nielicznym, którzy na niej nie pracują. (Pamiętajmy, że ziemia zwłaszcza magnatów nie zawsze drogą etyczną i pracą była zdobyta. Judaszowe srebrniki odegrały nieraz decydującą rolę w budowie fortun magnackich). Co się tyczy dóbr klasztornych i kościelnych, to kategorycznie twierdzę, że dobra te powinny być *zabrane bez odszkodowania* wraz z żywym i martwym inwentarzem; natomiast Państwo winno opłacać kler, zaszeregowawszy go do urzędników.

Będzie to z wielkim pożytkiem przedewszystkiem dla naszych pasterzy duchowych, pouczających nas, że zbytek i bogactwo zamyka przed człowiekiem wrota wiecznej szczęśliwości. Sprawiedliwość wobec miljonowych rzesz bezrobotnych i małorolnych będzie zachowana i z etyką iście chrześcijańską będziemy w zupełnej harmonji. Zastrzyk odżywczy jaki otrzyma wieś będzie potężnym środkiem do naprawy dzisiejszego zła. Panowie Radziwiłł, Zamojski, Potocki i t. p. nie zginą z głodu, wystarczy im na dostatnie życie; zbiednieją kapituły kościelne, jak naprz. św. Jura we Lwowie, licząca swe dobra na tysiące ha lasów i ornych gruntów — od tego dziury w niebie nie będzie.

Niech nas nie straszy możliwość zerwania konkordatu z Watykanem, na tem zerwaniu Polska nie straciłaby nic. Watykan, natomiast, jest zbyt rozsądny, żeby wobec faktów, jakie zaszły w Hiszpanji, Francji, Meksyku, Czechosłowacji, Litwie i t. p., odmówił Polsce, tej kochanej i jedynej, zbierającej jeszcze „Świętopietrze", swego ojcowskiego błogosławieństwa. Zerwanie konkordatu nie pociągnie za sobą ani krwawej walki, ani kary niebios.

Krótko konkretyzując rozwiązanie kwestji agrarnej, musimy ją w programie ludowym ująć w ramy trzech zasadniczych punktów:

I — wielkie obszary rolne dóbr świeckich wywłaszcza się bez odszkodowania, rozdzielając wywłaszczoną ziemię pomiędzy bezrolnych i małorolnych.

Właścicielom wywłaszczanych obszarów pozostawia się maximum obszaru, określonego w granicach, nie przewyższających 30 ha.

II — dobra klasztorne i kościelne (wszystkich wyznań) zostają wraz z żywym i martwym inwentarzem wywłaszczone bez odszkodowania i przekazane na cele reformy rolnej.

III — 5% obszaru rolnego Państwo zatrzymuje w swoich rękach, tworząc kilkanaście wielkich gospodarstw, na terenach których, będzie pro-

wadzić doświadczalnictwo, hodowlę bydła, koni i t. p. i które to rezerwaty będą służyć, jako szpichlerz rezerwowy na wypadek jakichkolwiek kataklizmów przyrody i jako fundusz zboża na eksport.

W związku z podziałem ziemi staje przed nami do rozstrzygnięcia zagadnienie olbrzymiej doniosłości, mianowicie co mamy uczynić z całem wnętrzem ziemi: rudą, solą, węglem, naftą i t. p. oraz z olbrzymią powierzchnią lasów prywatnych, których przestrzeń w Polsce zajmuje 9 miljonów ha.

Jak wnętrze ziemi tak i lasy powinny być upaństwowione. Lasy nie mogą być dzielone, gdyż wówczas olbrzymie bogactwo narodowe przestanie istnieć. Las musi być kompleksem wielkim, jeśli ma spełnić swoją gospodarczą rolę.

Lasy winny być upaństwowione, przy należytem zlikwidowaniu spraw serwitutowych. Lasy dotychczasowo gminne pozostają własnością gmin, jak również na własność gmin przechodzą oderwane, małe kompleksy leśne, dla których prowadzenia intensywna gospodarka leśna jest niemożliwa ze względu na szczupłe terytorjum i lichy drzewostan.

Upaństwowienie wnętrza ziemi napotykać będzie na spore trudności, jeśli uwzględnimy, że częściowo nasze kopalnie, saliny, nafta znajdują się w rękach obcego kapitału. Upaństwowić jednak należy te objekty, jakie mogą być upaństwowione, inne spłacając lub nie odnawiając umów na przyszłość.

Przeciwnicy będą operować znanem powiedzeniem, że Państwo niezdolne jest administrować przedsiębiorstwami, że tylko inicjatywa prywatna zdolna jest do wytworzenia zdrowej formy gospodarki.

Na to twierdzenie odpowiem: *primo* — dzisiejsza inicjatywa prywatna uwięziona jest i zamknięta w żelaznych ramach trustów, karteli, których gospodarka odbiega bardzo daleko od zdrowej formy dawnej gospodarki prywatnej. Jako jaskrawy przykład niech mi wolno będzie przytoczyć: sprawę zatopienia kopalni w Klimontowie, brudne konszachty kartelu karbidowego, cementowego, drożdżowego, cukrowniczego; *sekundo* — gospodarowanie Państwa winno być ujęte w formy Izb obieranych i odpowiedzialnych bardzo surowo przed przedstawicielstwem narodu.

Odpowiedni człowiek na odpowiedniem stanowisku, kontrolowany i odpowiedzialny za swoją gospodarkę wytworzyłby typ takiego samego administratora, dyrektora, jakimi są kierownicy przedsiębiorstw prywatnych, jakimi są dyrektorzy, opłacani z prywatnej kieszeni księcia Pszczyńskiego, lub Rady trustu czy innego kartelu.

Pierwszorzędnej wagi zagadnieniem, które musimy rozwiązać i określić jasno w swoim ludowym programie, jest kwestja współżycia wsi z miastem, zwłaszcza na platformie gospodarczej, i co już będzie rzeczą łatwiejszą — na platformie politycznej.

Musimy trzeźwo zdać sobie sprawę z tego, że każde przeobrażenie współczesnego reżimu, że każda wielka reforma, siłą rzeczy musi pociągnąć za sobą cały świat pracy t. j. chłopa i robotnika, w dość znacznym procencie, wychodzącego ze wsi.

Pamiętajmy, że wielka machina świata pracy składa się z dwóch olbrzymich trybów: chłopa na wsi i robotnika w mieście, a koła tej machiny w życiu gospodarczem i politycznem tak się zazębiają, że wykluczyć jedno koło — znaczy unieruchomić całą maszynerję.

Zrozumienie ważkości rozwiązania zagadnienia współżycia wsi z miastem powinno wpłynąć na jaknajszybsze uzgodnienie stanowisk, które w głównej swej koncepcji nie powinny i nie mogą być zbyt rozbieżne.

Chłop trzyma w swych rękach ziemię, chłop karmi kraj cały wytworem swej pracy, natomiast potrzebuje dla życia, dla swej pracy olbrzymiego łańcucha wytworów robotnika, jak i odwrotnie.

Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek z ludowców mógł wierzyć w niezniszczalny twór państwa wsiowego, gdzieby chłop był wszystkiem, gdzieby 36% reszty świata pracy był tylko języczkiem u wagi; tak samo nie wierzę, żeby ktokolwiek z wodzów robotniczych ufał, że zdoła przeobrazić życie polskie, nie biorąc pod uwagę $^2/_3$ ludności kraju — jak jedno, tak i drugie byłoby absurdem i gospodarczym i politycznym.

Chłop nękany wysoką śrubą podatkową, pragnie sprzedać zboże jaknajdrożej, robotnik zarabiając liche grosze, pragnie być sytym — w rezultacie jak jedna tak i druga strona jest głodna i obdarta, chociaż „podobno" mamy szaloną nadprodukcję. Ale gdy chłop będzie mógł za sprzedany wytwór swego warsztatu pracy kupić wszystko, co mu jest niezbędne, z drugiej strony gdy robotnik zaspokoić będzie mógł swój głód — gdzież wówczas będziemy szukać tarć, szukać kości niezgody. Ufam, że płaca najemna winna zniknąć z powierzchni życia gospodarczego. Robotnik powinien mieć udział w zyskach przedsiębiorstwa, którego powinien być współwłaścicielem.

Trudność będziemy mieć w zagadnieniu ustabilizowania cen pomiędzy dwoma zasadniczemi warsztatami pracy. Trudność ta jednak jest do pokonania, jeśli usuniemy falangę hyen pośredników, a zastąpimy ich zorganizowaną na zdrowych podstawach kooperacją.

Robotnik winien być współwłaścicielem warsztatu pracy, na którym ciężko pracuje przez swoje długie życie. Dziś powinniśmy wyraźnie powiedzieć obywatelom pracy z miast i ośrodków przemysłowych, że pragniemy stworzyć wspólny front w realizacji nowego życia, ale front na prawach równego z równym.

Przyjrzyjmy się dzisiejszemu stanowi rzeczy: drobna własność prywatna stacza boje z kartelami, a obie formy prowadzą nagonkę na Państwo, obwiniając go, że ma niezdrowe zapędy etatyzmu. Upaństwowienie pewnych warsztatów pracy, postawienie na czele ich ludzi obieranych i odpowiedzialnych, usunięcie falangi hyen-pośredników; zharmonizowanie interesu wsi a miasta, a dzisiejszy chaotyczny, prawie bezprogramowy etatyzm — to olbrzymia różnica.

Broniąc swego punktu widzenia, twierdzę, że stan dzisiejszego chaosu, stan niezdrowej walki drobniejszej własności prywatnej ze zkartelizowaną własnością prywatną, zagmatwane, skłębione dziwacznie zagadnienia tych form w walce z etatyzmem przekreślają same przez się tak chimeryczne atuty przeciwników, jak „święte" prawo konkurencji, jak jeszcze „świętsze" kanoniczne wprost prawo inicjatywy prywatnej, która przed szeregiem lat zakończyła już swój chlubny żywot. Dziś nie zdrowa inicjatywa prywatna rządzi, nie Państwo nawet, które nieumiejętnie stara się naprawić zło, lecz rządzi oligarchja satrapów finansowych — królów żelaza, stali, piwa, prasy, zapałek, nafty; dziś nie inicjatywa rządzi, a wiecznie głodny apetyt nienasyconych Hearstów, Zacharowych, Kruppów i innych.

Poczucie wyższości spraw ogólnych nad sprawami prywatnych jednostek musi być integralną częścią naszej pracy.

Poza zagadnieniem reformy agrarnej i rozwiązaniem problematu współżycia wsi z miastem, winniśmy w swoim politycznym programie zająć wyraźne stanowisko w kwestjach tak ważnych jak sprawy mniejszościowe, zwłaszcza kwestja żydowska i ukraińska.

Wątpię, żeby ktokolwiek z ludowców był zahypnotyzowany szarlatańskim gestem Hitlera — jego teorją czystości rasy, jego antyżydowskiemi hecami. Zdajmy sobie sprawę, co spowodowało, że Hitler po dokonaniu swojej rewolucji wybrał za kozła ofiarnego — żyda. Wartki potok mas musiał dyktator skierować na jakieś emocjonujące zagadnienie, żeby nie pozwolić rozsadzić dokonanego przez siebie dzieła. Skopjował więc kanclerz niemiecki taktykę rosyjskich satrapów, skopjował ją z większym, kulturalniejszym nieco rozmachem, wywieszając szyld czystości rasy teutonów. Zahypnotyzował masy żydowskiem niebezpieczeństwem, mając czas prowadzić konszachty z obszarnikami-junkrami, mając możność swobodnie zapakować do obozów koncentracyjnych całą elitę powojennych Niemiec, nie noszącej znaku swastyki.

My, ludowcy, określając swe stanowisko programowe w kwestji żydowskiej, musimy stanąć na platformie trzeźwej, rozumnej, a nie wywołującej tylko chwilowy efekt.

Usunąć bezceremonjalnie żydów z Polski nie możemy, ale wymagać od nich, jak i od każdego obywatela Państwa musimy lojalności i twórczej pracy. Długie wieki historji wytworzyły taki a nie inny typ człowieka-żyda. Przeobrażenia natury gospodarczej, jakie zajdą przy realizacji programu ludowego, muszą wpłynąć na przeorganizowanie społeczeństwa żydowskiego, na zasadniczą zmianę jego oblicza. Żyd przestanie być pośrednikiem w wymianie, lub bankierem. Jeśli nie zechce zmienić swego trybu życia, będzie miał wrota na wyjazd otwarte, jeśli przystosuje się do warunków nowych i będzie dobrym, lojalnym obywatelem kraju—pozostanie wówczas jednostką twórczą w organiźmie Państwa.

Nasza endecka młodzież narodowa propagując hasło bojkotu żydów, tłucze szyby i bazgrze ściany, kupując u tych samych żydów symbol swej walki — zieloną wstążeczkę. Kwestja żydowska nie może być pępkiem świata i wywindowanie jej do tej roli ma jedynie za cel ukrycie w jej cieniu zagadnień stokroć ważniejszych, stokroć więcej palących.

Trudniejszym problematem jest rozwiązanie kwestji ukraińskiej. Tu my, polacy, jesteśmy skrępowani polityką Niemiec, które postawiły sobie za zadanie stworzenie Państwa Ukraińskiego, ufając, że w nowoutworzonem Państwie będą mogli rządzić się jak szara gęś. Ufając, że wówczas niemiecka hegemonja gospodarcza rozciągać się będzie od Bałtyku po brzegi morza Czarnego, po łańcuch gór Kaukazu i południowego Uralu. Z drugiej strony kwestja ukraińska zajmuje pierwszorzędne miejsce w wewnętrznej polityce Z. S. S. R. Ale musimy jednak określić swoje ludowe stanowisko. Nie pójdziemy śladami starej idei narodowej Maurycego Barres'a, który ideę tę pragnął uczynić podstawą moralności. Nie będziemy twierdzić, że ukrainiec winien zapomnieć swojego języka, winien spalić dzieła swych duchowych wodzów, winien stać się więcej papieskim jak sam papież, być więcej polskim, jak mazur z pod Krakowa — bo żądanie takie będzie absurdem.

Przyjdzie okres w historji, kiedy ludzkość zostanie wyleczona z ułomności, które dziś w naszych zwojach mózgowych stanowią gros motywów takiego, a nie innego postępowania — wówczas zanikać zaczną granice, te barjery, zlane obficie krwią ludzką, okadzone trującymi gazami; wówczas istota nie przynależności narodowej, a istota wartości człowieka będzie jedynym fundamentem nowego gmachu.

Dziś musimy wyraźnie określić, że tak zwana Ukraina jest składową częścią Państwa Polskiego, korzystającą ze wszystkich wolności, z jakich korzysta rodowity polak — wolności nauczania i posługiwania się w życiu swoim językiem, wolności religji, *wolności*, na jaką każdemu obywatelowi pozwala konstytucja przyszłego państwa ludowego, w której szowinizm nie znajdzie miejsca.

Oddając ten artykuł na łamy „Młodej Myśli Ludowej", pragnę uczynić wstęp do rzeczowej, trzeźwej dyskusji, nie zabarwionej demagogją, lub nieszczerością, któraby pozwoliła nam, młodym ludowcom, na skrystalizowanie swego programu, na który czeka uginająca się pod obuchem okrutnej nędzy — wieś, na który czeka dwadzieścia miljonów chłopów.

KAROL PĘDOWSKI

O RAMY NOWEJ KONSTYTUCJI

(Parlament, rząd, kontrola i sądy)

Konstytucja Marcowa nie zapewniła trwałości demokracji, nie stworzyła rzetelnych podstaw do jej rozwoju i została zastąpiona nową przedziwną konstytucją.

Trzeba zastanowić się czego od ustroju państwowego mamy wymagać, jakim koniecznościom życia powinien on zadośćuczynić. Z jednej strony żądanie położenia silnych podstaw dla rozwoju demokracji, wolności indywidualnej i tego wszystkiego, co zapewnia wolną krytykę, rzeczową kontrolę etc. z drugiej strony konieczność stworzenia dogodnych ram dla zmiany rzeczywistości społecznej i ekonomicznej, dla zmian, które prędzej, czy później nastąpić będą musiały.

Potrzebna jest silna, rzutka, energiczna władza, która znajdzie dość potęgi, by przeprowadzać wielkie reformy, szybko rozwiązywać najtrudniejsze zagadnienia i równocześnie istnieje obawa, by władza ta zagustowawszy w rozkoszach rządzenia nie chciała się stać absolutną.

Niezmierna ilość potrzeb i warunków, którym ma zadośćuczynić konstytucja komplikuje problem ustrojowy.

Chciałbym chociaż ogólnie omówić instytucje i urządzenia, któreby równocześnie były nawskroś demokratyczne i dla demokracji dawały możliwie trwałą i pewną podstawę, a pozwalały rządowi na jak największą swobodę działania.

Typ demokracji francuskiej, na której wzorowała się nasza Konstytucja Marcowa, zbudowany na bezwzględnej supremacji parlamentu i to nietylko w dziedzinie ustawodawczej, ale i wykonawczej, z ciągle wiszącą grozą votum nieufności dla rządu, stwarza aparat ciężki, nieprzystosowany do chwil przełomowych, powoduje również zmienność polityki i nad wyraz utrudnia przeprowadzanie wielkich reform, które nawet niejednokrotnie uchwalane, zetknąwszy się z trudnościami życia, z oporem jakiejś częci społeczeństwa, pozostają martwą literą (przykładem choćby nasza reforma rolna). Z drugiej strony zachodzi zjawisko oryginalne, że ten nawskroś demokratyczny system rządzenia, stosunkowo mało posiada odporności na rozmaite zakusy absolutystyczne. — Gdy rząd ugruntuje się we władzy, administracji i poobsadza swojemi ludźmi odpowiednie stanowiska, często zaczyna, ograniczać prawa parlamentu i zmierzać do dyktatury. I zwykle parlament nie posiadający egzekutywy, nie potrafi przedsięwziąć silnej kontrakcji, zadawalniając się przeważnie retoryką, do momentu, w którym i ona zostaje ograniczona. Tak się stało w Niemczech, Austrji, podobnie w Polsce po maju 1926 r., podobnie nawet we Włoszech.

System prezydencki, (nazywa się czasem konstytucyjnym) który dał nienajgorsze wyniki w Stanach Zjednoczonych, doprowadził w republikach południowo-amerykańskich do ciągłych rewolucji, gdyż z jednej strony, w okresie kadencji prezydenta, rządu nie można było, drogą legalną usunąć, z drugiej rząd ten zwykle starał się przedłużyć swoją władzę w sposób już zgoła niekonstytucyjny.

Odmienną zupełnie jest konstytucja Szwajcarska (system dyrektorjalny), która zdaje się naśladowaną nie była, w Szwajcarji dała rezultaty dobre. W rządzie zasiadają tam wybrani na pewien czasokres przedstawiciele różnych partyj. Ma to jednak wadę dość zasadniczą, permanentną niejednolitość polityki.

Zastanowić się jeszcze należy, w jakich warunkach, w jakich okolicznościach najczęściej zjawiają się tendencje dyktatorskie i powstają dyktatury. — W chwilach przełomowych, w chwilach trudności państwowych, niepowodzeń na gruncie międzynarodowym, wzmożonego bezrobocia, w chwilach wielkich nadużyć i rozwielmożnionej demagogji, gdy rządy parlamentarne poczynają sobie chwiejnie i mętnie, nie wykazują żadnej stanowczości i padają jedne po drugich, w takich właśnie chwilach, społeczeństwo, znużone biernością, czy wręcz bezrządem, tolerancyjnie o ile nie życzliwie wita „zbawcę" (patrz F. Cambo — Dyktatury) który dąży do społecznej „karności", „silnej władzy", który obiecuje bóg wie co, a w rzeczywistości prostą drogą zmierza do dyktatury, która przeważnie nic nie zbuduje, otoczy się kliką, ciągnącą z istniejącego stanu rzeczy wszelkie korzyści, zabije jakąkolwiek wolną myśl, skoszaruje całe społeczeństwo i cofnie je o kilka stuleci wstecz.

Jeżeli jednak wytworzy się w społeczeństwie podobne nastawienie, niebezpieczeństwo jest już wielkie.

Czy istnieje możliwość, by nie usuwając parlamentarnej odpowiedzialności rządu, wzmocnić i utrwalić jego pozycję? — W Anglji wytworzyło się drogą zwyczajową prawo, że rząd, który uzyskał votum nieufności od parlamentu, może odwołać się do narodu, rozwiązując parlament i dopiero wybory rozstrzygają czy społeczeństwo stoi po stronie rządu,

czy rozwiązanego parlamentu. Już sam fakt podobnej możliwości, niejednokrotnie powstrzyma od zbyt pochopnego obalania rządów (podobnie — projekt Tardieu). W Anglji rządy są dość długotrwałe, wpływa tu jednak zapewne jeszcze fakt istnienia tylko trzech stronnictw. Zasada powyższa nie jest wystarczającą. Rząd, by osiągnąć pewne rezultaty, musi często postępować w sposób radykalny, szybki, musi się nie obawiać votum nieufności, często zachodzi nawet potrzeba prędkiego wydawania ustaw etc. I tu trzeba się głęboko zastanowić nad instytutem, który zyskuje w tradycjach parlamentaryzmu, coraz większe prawo obywatelstwa. Rząd by przeprowadzić jakąś wielką reformę, by opanować groźną sytuację żąda pełnomocnictw, żąda przelania na jakiś okres czasu pewnych praw parlamentu na siebie. U nas posiadał pełnomocnictwa przed majem 1926, rząd Grabskiego, w chwili obecnej domagał się we Francji pewnych pełnomocnictw Doumergue, z ich pomocą przeprowadza Roosevelt reformy w Ameryce.

Pełnomocnictwa dotyczą zwykle pewnych dziedzin życia, najczęściej spraw finansowych i są dotychczas traktowane jako zjawiska w życiu politycznem zupełnie wyjątkowe. Z drugiej strony mogą się stać bardzo dogodną formą do udzielenia rządowi wielkiej władzy na pewien czasokres, zwykle dla przeprowadzenia jakiejś wielkiej reformy, uporania się z wyjątkowemi trudnościami danej chwili i t. p. Zrzeczenie się przez parlament mniejszej lub większej części swej władzy na pewien, zgóry określony czas, w określonym celu, może się stać zbawiennem remedjum na ciężkość i brak energji, jaką często wykazują bardzo skrępowane rządy parlamentarne. Pełnomocnictwa niejednokrotnie mogą iść bardzo daleko (nigdy zmiana konstytucji) na dość długi okres, nie przekraczający jednak nigdy, oczywiście, długości kadencji danego parlamentu i mogą nawet wyjątkowo zawiesić na ten czas odpowiedzialność rządu i odłożyć sprawozdanie na chwilę, w której skończą się pełnomocnictwa.

Z rządaniem pełnomocnictw mógłby wystąpić rząd w chwili swojego expose i miałby je uchwalone razem z votum zaufania.

Mówiąc jednak o tej formie umocnienia władzy rządu, trzeba koniecznie podkreślić jej liczne niebezpieczeństwa, a przedewszystkiem najważniejszą z nich możliwość tendencji absolutystycznych rządu, który przez czas swojej wzmożonej władzy mógłby bardzo urosnąć w siłę.

I tutaj wyłania się kwestja zasadnicza, kwestja utworzenia pewnej przeciwwagi, pewnej kontr-władzy, któraby wszelkim zakusom dyktatorskim mogła się przeciwstawić. Instytucja, mogąca władzę tę posiadać, nie może być oczywiście instytucją polityczną, gdyż wtedy zależnie od zabarwienia mogłaby albo rządowi iść zupełnie na rękę, albo paraliżować wogóle wszelkie jego poczynania. Należy się tu zastanowić nad instytucjami kontroli w rodzaju N. I. K. P., z drugiej strony nad wszelkiego typu sądami. Rząd, który uzyskał pełnomocnictwa, posiada szeroką władzę i, rozpoczynając swą działalność, może utrzymać się w ramach pełnomocnictw, konstytucji i tych ustaw, do których zmiany nie upoważnił go parlament, może je równie dobrze przekroczyć, może wreszcie wyzyskać swe uprawnienia do zgoła innych celów niż te, które były oficjalnie głoszone. Instytucje kontroli, które dotychczas rozpatrywały działalność administracji i rządu głównie z punktu widzenia legalnego, czasem celowego, trybunały, jak Trybunał Stanu, gdzieniegdzie istniejący Trybunał Konstytucyjny, sądy

etc. były instytucjami bądź pomocniczemi parlamentu, bądź uzależnione, lub łatwo dające się uzależnić od rządu, ponadto nie posiadały, ani dość siły, ani praw, by kiedykolwiek móc się skutecznie przeciwstawić rządowi i powstrzymać go od bezprawnej działalności lub tendencji dyktatorskich.

Czy nie dałoby się jednak takiego stanu rzeczy zmienić? Uniezależnienie zupełne sądownictwa przez wyłączenie kwestji go dotyczących z pod kompetencji rządu, oddanie funkcji ministra sprawiedliwości prezesowi sądu najwyższego, który stałby się czemś w rodzaju kanclerza sprawiedliwości, którydy również posiadał współwładzę nad policją, oddanie pod jego egidę Najw. Izby K. P. i innych instytucji kontroli, połączenie Sądu Najw. z Najw. Tr. Adm., oddanie Sądowi Najwyższemu funkcji nieistniejącgo u nas Trybunału Konstytucyjnego oraz funkcji Tryb. Stanu, z tem, że w razie wyraźnego przekroczenia osiągniętych uprawnień przez rząd, Sąd Najw. mógłby postawić ministrów w stan oskarżenia, to wszystko stworzyłoby organizację potężną, któraby mogła czuwać nad praworządnością w państwie i przeciwstawić się jej naruszeniu. Organizacja taka nie wtrącałaby się do poczynań rządu politycznych, choćby najbardziej radykalnych, ale zgodnych z konstytucją, pełnomocnictwami, ustawami. Podobnie zcentralizowana władza sądowo-kontrolująca, oczyściłaby może życie polityczne z korupcji, zapewniła czystość wyborów etc.

Myśl stworzenia kontroli legalności poczynań rządu nie jest nowa. U nas była poruszana niejednokrotnie na łamach prasy. Francuska Rada Stanu (raczej drogą jurisprudencji niż ustawy) zyskała prawo badania legalności działania (z wyjątkiem paru wypadków — dziedzin wojsk., polit. zagr. etc.) władzy wykonawczej. Danie zaś tej kontroli odpowiedniego autorytetu i siły jest dobrą myśli tej konsekwencją. Myśl o scentralizowaniu władzy sądowej również nie jest nowa i dyskutowana była zwłaszcza szeroko wśród naszego sądownictwa.

Stworzenie silnego rządu, zależnego jednak od zgóry narzuconego kierunku politycznego parlamentu, rządu swobodnego w działaniu a jednak kontrolowanego, jest swojego rodzaju ideałem Proponowany tu system jest próbą praktycznego rozwiązania tego problemu, jest próbą znalezienia pewnego modus vivendi. W życiu nastręczałby zapewne nowe trudności. Ale ostatecznie całkowicie doskonały ustrój państwowy jest niemożliwy i nigdy nie powstanie.

W chwili obecnej, szczególnie gwałtownych ataków na demokrację i parlamentaryzm, należy się zastanowić nad tem, co w dotychczasowych konstytucjach demokratycznych stanowiło ich słabość i w jakim kierunku należy iść, by je uzdrowić. Sprawa jest ważna, bardzo ważna. Od jej rozwiązania zależy los demokracji na dłuższy przeciąg czasu. Nadchodzą wielkie przeobrażenia społeczne, oby odbywały się one w ramach demokracji!

Niniejszy artykuł chciałby nawiązać dyskusję na zasadniczy temat ustroju państwa polskiego, porusza tylko jedno z wielu zagadnień ustrojowych.

TOMASZ NOCZNICKI

PONURE ECHA PRZESZŁOŚCI

Motto: *„Różdżką Duch Święty dziateczki bić radzi".*

Więc bito dzieci rózgą czyli „napędzano rozumu do głowy". Czy napędzono? Oto ciąg dalszy, ale już z batem. Czytamy dziś znowu: *„Batem Duch Święty łajdaków bić radzi".*

„Naszych dziadów chłostali jezuici starzy,
Naszych ojców chłostali ojcowie pijarzy.
A nam się bazyliańska rózga przypomina
Albo dominikańska twarda dyscyplina".

W. Syrokomla „Szkolne czasy Dęboroga".

Takie to były czasy: szkoły były katowniami dzieci rozumie się szlacheckich, a po części i mieszczańskich. Chłopi nie mieli dostępu do szkół. Kardynał *Richelieu*, co rządził Francją przez lat 18, od r. 1622 do 1640, w testamencie swoim tak napisał o oświacie ludu: *„Jak ciało, któreby miało oczy na wszystkich członkach, byłoby potworne, tak samo byłoby potworne państwo, w którem wszyscy poddani byliby oświeceni, byłoby w nim równie mało posłuchu, jak wiele zarozumienia i dumy".* A zaś kardynał *Fleury*, co rządził Francją przez lat 17, od r. 1726 do 1743, postawił zasadę, że *„lud nie powinien umieć czytać i pisać".*

A w Stanach Zjednoczonych Ameryki w *r. 1818* postanowiono prawo, skazujące na 34 baty tego, ktoby nauczył czytać murzyna z Virginji. Niewolnik musiał być ciemny. Chłop w Polsce był niewolnikiem, przeto go nie uczono. Za to szlachcice bici w szkołach przez nauczycieli *stanu duchownego*, gdy zostali dziedzicami, *katowali lud.*

Szkoły-katownie były rozsadnikami okrucieństwa; młodzież szlachecka wynosiła z nich zamiłowanie chłosty, kary cielesnej, którą też bez żadnego umiaru stosowała później do pańszczyźnianych chłopów.

Oto gdzie należy szukać początków i nauki bicia.

A teraz do rzeczy. Wyszła w Polsce książka rzeczywiście *haniebna i ohydna.* Napisał ją człowiek, co się nazywa *Jan Sobolew*, wydrukowaną zaś została *w Wilnie*, a jej skład główny jest w księgarniach Św. Wojciecha, *w Wilnie, Poznaniu, Warszawie i Lublinie.*

Książka ta w najwyższym stopniu niegodziwa wyszła pod aprobatą Arcybiskupa Wileńskiego, ks. Romualda Jałbrzykowskiego, jeżeli się nie mylę co do nazwiska. W książce tej, pod tytułem: *„Karanie wychowawcze*, jako oddziaływanie na *duszę* w okresie chłopięcym", (podtytuł: „O istocie, potrzebie i stosowaniu kary cielesnej"), zaraz na karcie tytułowej autor powołuje się na pismo święte starego testamentu, a więc *przypowieści Salomonowe*, na świętego Pawła, na ojca kościoła Orygenesa oraz na ojca Ireneusza Kmiecika, prowincjała ojców Reformatów — gdzie? toż chyba w Polsce. Otóż w tej książce na 102 stronach dużego formatu, bitym dru-

kiem, po kilka razy na każdej stronie, pisze się: rózgi, chłosta cielesna w szkole przez nauczyciela, dla dzieci już od lat 7 do 15; *bić, bić, siec rózgą na gołe ciało; bić z całej siły; bić żeby bity chłopiec czuł ból,* bić i upadlać do tego stopnia, żeby chłopiec *aż do lat 15,* a więc młodzieńczyk sam, na rozkaz nauczyciela *przyniósł sobie ławkę, spuścił spodnie, zawinął koszulę, obnażył pośladki, położył się na ławce owej i był chłostany rózgą czy trzciną albo dyscypliną.*

Autor, nakazując karę chłosty, tłumaczy i dzieciom bitym i bijącym *„pedagogom"*, że w ten sposób trafia się do *duszy* dziecka. Opętaniec, przez bicie w *pośladki* chce trafić do duszy. I taką to niegodziwą — powiem — plugawą książkę zaaprobował *arcybiskup, polak, kapłan i książę kościoła,* wraz z całym urzędem *arcybiskupiej cenzury.*

Doprawdy człowiek czyta tę ohydę i oczom nie chce wierzyć. Kult dziecka nazywa on pogańskim, a bicie, *bolesne bicie nazywa chrześcijańskiem,* słowem: rozum, uczciwość, przyzwoitość, nawet dobre obyczaje, ambicje, dziecka-podrostka-młodzieńca odrzuca jako fałszywy i *„obłudny humanitaryzm"*. Książkę tę napisał jakiś zwyrodniały okrutnik, a brednie niepoczciwe uznał za dobre książę kościoła. Rozumiem, że kościół katolicki, co przez setki lat mordował na stosach nieraz najlepszych ludzi, który tych zbrodni nigdy się nie wyparł, ani ich nie żałował, chce i pragnie wprowadzić nazad do szkoły polskiej *chłostę i to chłostę bolesną.* Dla kleru przecież średniowiecze jeszcze się nie skończyło i jeżeli nie może dziś palić ludzi żywcem na stosie, to chce jednak paść nauczycieli widokiem sieczonych *z całej siły chłopięcych pośladków,* przez które ma być droga do duszy? Nie ciekawa droga, ale to już rzecz gustu. P. Sobolew w swojej książce, ma zawsze na zawołanie teksty biblijne i — ojców kościoła, starych z przed setki lat pedagogów, a i nowych *z pod ciemnej gwiazdy.*

Mówi przytem, że przez bicie — *bolesne bicie, ratuje duszę chłopca od piekła,* ponieważ nie mówi ani słowa o chłoście dziewcząt — przeto widocznie skazuje dziewczęta na karę *piekła.* Małe dzieci — i piekło?! Czyż to nie warjat? Ale arcybiskup wileński zaaprobował taką niegodziwą książkę. Dlaczego? Oto dla tej przyczyny, że te kary mają być stosowane do dzieci *ludu* t. j. do dzieci chłopów i robotników. Autor o tem wprost nie pisze, ale mówi, że dzieci nie należy bić pasem, rzemieniem, ani kijem, ani laską, ani pięścią, ani po twarzy — ale zawsze trzeba bić w *obnażone pośladki i bić mocno i boleśnie.* Wiadomo tedy, że ta inteligencja ani pasów z rzemienia nie nosi, ani też dzieci swoich kijem nie bije, ani policzkuje, a więc? chodzi tu o szkoły dla ludu, szkoły powszechne, a cel tej książki ohydnej — to wprowadzenie kary chłosty dla dzieci ludu w szkołach powszechnych. Przemawia za tem i to jeszcze, że szkoły średnie obecnie dla dzieci ludu są z wielu przyczyn niedostępne. Autor wciąż powołuje się na biblję — przeważnie na *przypowieści Salomonowe,* a więc na pismo z przed lat tysięcy, kiedy to człowiek bliski był stanu pierwotnej dzikości. I jeszcze jedno: Biblja jest księgą tego rodzaju, że na nią, na jej teksty — wersety może się powołać każdy i znaleźć tam to, co chce. Na „pismo święte" mógł się powołać i Franciszek z Asyżu i Wincenty a Paulo — miłośnicy *ludzi,* przyjaciele ludzkości, a także różni zwyrodniali okrutnicy i inkwizytorzy, którzy poprostu ociekali krwią ludzką, oraz ukoronowani łotrzy, jak wielu władców. Nie jest

więc ani możliwe, ani celowe popierać własne okrucieństwo biblją, bo to rzecz niebezpieczna. *Bicie dzieci zawsze jest zbrodnią, zmuszanie dzieci do upadlania nakazem psiej pokory, obnażania się* i t. d. *jest nikczemnością.* Każdy objaw przemocy i brutalnej siły wobec istoty słabej — dziecka *jest podłością.*

W roku 1913, w Warszawie, wyszła mała broszurka o 73 str.; napisał ją Eugenjusz Sokołowski pod tytułem *„Nie bijmy dzieci“.* Piękna to, rozumna i szlachetną praca. Trzeba tę zacną, tę poczciwą i rozumną książeczkę przedrukować w setkach tysięcy egzemlarzy i jak najtaniej sprzedać ją przedewszystkiem nauczycielom wszystkich szkół nawet wyższych oraz wychowawcom i rodzicom dzieci. Będzie to i być powinno zadość uczynieniem i rehabilitacją za ukazanie się książki p. J. Sobolewa, który powołuje się pomiędzy innymi i na to, że i Niemcy przecież miały w 1913 roku karę chłosty. E. Sokołowski już na str. 3 przytacza pewnego nauczyciela niemieckiego, *Jakóba Haberle*, który w ciągu 52 lat swojego nauczycielstwa dał uczonym przez siebie dzieciom 3.224.022 uderzeń. I co wychowali w Niemczech p. p. Heberle? Naród, przeciwko któremu w 1914, musiał się zmobilizować świat prawie cały, ażeby mu nałożyć kaftan bezpieczeństwa. A, że tego w należyty sposób, w roku 1918, jesienią nie uczyniono, tedy mamy nowe wydanie starych zbrodni niemieckich, pod wodzą *katolika Hitlera.* Doprawdy, *chwasty z krwawych pól* wyrosły bujnie, głuszą one każde pożyteczne zboże i inne rośliny. Gorzkie piołuny, kolczaste osty i parzące pokrzywy, bujnie się rozrosły, co dobre, co piękne, wzniosłe i szlachetne, to w kąt, co podłe, ohydne i nikczemne — to na front życia przepycha się dziś. Szaleją ludzie — a nawet kościoły. Gwałt i przemoc ma dziś prawo obywatelstwa. *Bo czemże jest chłosta dzieci? — przemocą, gwałtem, nikczemnością i zbrodnią.* Siłą, gwałtem, przemocą trzeba położyć, rozciągnąć, obnażyć i oćwiczyć *boleśnie chłopca*, ktory sam położyć się pod rózgę czy dyscyplinę *nie zechce.* Siłą trzeba go zmódz, gwałt zadać *jego honorowi, obedrzeć go ze czci, obrabować z ambicji i człowieczeństwa*, zrównać go z tępym koniem czy wołem, który nadstawia boku pod bat. Oto co niesie kara chłosty. Ale p. Sobolew pisze, a arcybiskup wileński aprobuje, że to ma obronić od *mąk piekielnych.* Doprawdy, czasby już było przestać *mówić o piekle i nie napełniać niem ubogich w wiedzę mózgow ciemnych ludzi.* I zamiast straszyć ciemnotę ludzką piekłem teologicznem, należy usuwać z pojęć ludzkich nędzę naszego ziemskiego — doczesnego życia, które nas otacza, a które pochodzi z przyczyn zupełnie ludzkich t. j. ze złego ustroju społecznego. P. Sobolew *to piekło przemocy, gwałtu i bezwstydu wtłacza już małym dzieciom w mózgi,* chce je przerazić *torturą kary cielesnej, chłosty rózgą czy dyscypliną; chłosty bolesnej w gołe pośladki*, a ks. arcybiskup wileński tę ohydę mu aprobuje. Więc trzeba bić! A co dało w przeszłości to bicie? Dało jaknajgorsze rezultaty, wszędzie, zawsze, i na każdem miejscu. W żydowstwie dało ono obłudnych faryzeuszów, *których Chrystus nazwał „grobami pobielanymi“.* Kogo, jakich ludzi wychowali w Polsce jezuici, co *„łupili“* w swoich szkołach dzieci szlachty? Proszę przeczytać pracę *historyka Władysława Smoleńskiego* p. t. *„Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej”*, pisma historyczne, tom I. Jako się wyżej rzekło, książkę o biciu napisał Jan Sobolew. Zapewne, za caratu p. Sobolew po polsku nie pisał, obecnie zapewne ma się za polaka, ale cześć dla

chłosty zapewne odziedziczył po Rosji. Boć Rosja lubiła bić; chłostą zabijała ludzi. *„Bić bez litości knutem na szafocie"* opiewały w Rosji wyroki sądowe. A w wojsku? Toż tam bito tysiącami pałek, toż pod pałkami umierali żołnierze i bito trupy. Jedną taką karę pałek przez szeregi opisuje L. Tołstoj w utworze *„Djabeł"*. Niepodobna czytać tego bez zgrozy. Było to za panowania cara Mikołaja I, którego tenże Tołstoj nazywa *pałkinem*. A pułkownik *Struś* czyli *Dr. Jan Stella - Sawicki* w książce: „Moje wspomnienia" opisuje: że pułkownik rosyjski, Czaplin, kazał wyliczyć 14 letniemu uczniowi Hamratowi 500 rózg za złe robienie bronią — było to w Petersburgu w korpusie kadetów — — Nieszczęśliwe dziecko po tej chłoście poszło wprost do szpitala. A taki jenerał Puszczyn, tamże opisany, co rózgami zabijał na śmierć nawet dzieci jenerałów. Skarcił go za to car, bo zabijał dzieci szlacheckie, nieszlacheckie wolno było zabijać. Taka była Rosja cara Mikołaja I i takie kary chłosty. A gdy przyszedł pogrom wojny krymskiej 1853 — 55 r., to car się otruł, ponieważ się przekonał, że biciem okrutnem, nawet katowaniem, ani Rosji nie umoralnił, ani nie nauczył. Po nim nastąpił car Aleksander II. Ten zrozumiał, że trzeba zmienić system rządów wewnętrznych, i jeżeli chodzi o wojsko, to nieśmiertelną ma zasługę oficer wówczas rosyjski jeneralnego sztabu, Zygmunt Sierakowski, który wybitnie się przyczynił do zniesienia barbarzyńskiej kary chłosty w wojsku rosyjskiem już za panowania cara Aleksandra II.

A jakże inaczej zachował się, wysoki dygnitarz cerkwi prawosławnej, Metropolita Moskiewski, *Filaret*. Zapytany urzędowo o zdanie co do kary chłosty, odpowiedział *„że on niema nic przeciwko karze chłosty, jeżeli to jest państwu potrzebne"*. Pisze o tem Jan Kucharzewski, historyk, w dziele: „Od białego caratu do czerwonego". Znamienna ta, a i wykrętna odpowiedź tego metropolity moskiewskiego, dana w r. 1861, przyniosła odpowiedź ludu rosyjskiego w lat 56. Jak to wypadło, to proszę przeczytać co o tem napisał profesor i b. rektor uniwersytetu Wileńskiego, Marjan Zdziechowski, w książce: „Europa, Rosja, Azja". Radziłbym, ażeby to sobie ks. arcybiskup wileński, Romuald Jałbrzykowski, ku zbawiennej przestrodze, przeczytał, jako że Rosja — jej granice niedaleko od Wilna. A tak jakoś wypadki się składają, że Polska może stanąć pomiędzy Hitlerowskimi Niemcami a Sowiecką Rosją, o czem należy pamiętać, bo — — fortuna kołem się toczy.

JÓZEF NIEĆKO

RZECZ SIĘ BĘDZIE ROZGRYWAŁA — „O WEWNĘTRZNE ŻYCIE WSI"

I

Uśmiercił mię — bo uśmiercił! Nie płaczcie jednak wy — żywi — młodzi — stateczności i rozwagi dojrzałej pełni — ani wy starzy, warem młodzieńczej krwi nagrzani — rozrewolucjonizowani, zamaszyści i rozma-

szyści — — — Nie płaczcie nad mogiłą nieznanego, chociażeście go znali! — Nie płaczcie nad mogiłą znanego, boście go przecież nie znali! Otrzyjcie łzy starzy i młodzi — „sąsiady i sąsiadki i wy małe dziatki" — nie płaczcie, bo szkoda łez, a „nie żal róż gdy lasy płoną" — — —

Uśmiercił mię — bo uśmiercił! Ten Stacho Sakłaków ze „świata zielonego" — jušci! W „młodomyśleniu" zaduszkowem, listopadowem i ludowem — uśmiercił mię na amen! A nordyk „zorkaczony" wnetki nagrobek mogilny mi ufundował. Nagrobek wspaniały — na miarę Rozenberga, a może nawet samego Hitlera! — To i jušci — Bóg wielki Wama zapłać — o, dobrzy ludziska! Wiedzta bo przecież — że lekko — lekuchno — spoczywać w śmiertelnem spaniu, a jakże ciężko — ciężkawo było swendać się w życiowem bytowaniu — — —

A przeto: — stypę pogrzebową — wyprawić — wyprawiłem. A gdy pod „zorkaczonym nordykiem" mogilnym źdźiebko sobie wypocząłem — świerzbienie w języku uczułem i na wyznanie win mi się zebrało. Niby na spowiedź — jakoże za życia nie zdążyłem, bo tak nagle mię uśmiercił — jušci — ten Stacho, co chłopski świat na zielono wypomadował. Ale o spowiedzi chcę mówić.

II

Ks. Jan Zieja opisując w „Ateneum Kapłańskiem" ostatni Zjazd „Wiciarzy" (wśród których połowę życia spędziłem) — między innemi tak o „Wiciarzach" powiada:

„młodzież z Kół „Wiciowych" — to ta nasza „katolicka" młodzież wiejska, niewprowadzona przez nas (— to znaczy przez kapłanów — przyp. autora) gruntowniej w życie chrześćjańskie, nie znająca dostatecznie nauki katolickiej, ale nie myśląca o porzucaniu wiary swych ojców".

To prawda — młodzież „wiciowa" nie myśli o porzucaniu wiary swych ojców. I ja — jeden z najstarszych „wiciarzy" — nigdy o tem nie myślałem i teraz po śmierci myśl taka nigdy we mnie się nie zrodziła. Ale mniejsza jak to bywa teraz wśród nas umarłych. Ważniejsze — jakto za życia bywało. Jeszcze raz tedy stwierdzam, że, nigdy nawet nie śniło mi się o porzucaniu wiary swych ojców. Pomimo nawet wielkich wysiłków i ataków zmierzających do oderwania mnie od wiary. Ciekawiście, cóżto za nieprzyjacioły i wrogi świętej wiary katolickiej, cóż to za masony, wolnomyślniki i szatany — śmiały atakować wiejskiego chłopaczynę — i cóż im zależało na takiej mizerocie?

Trudno mi to wyjaśnić sposobem „naukowego formułowania". Myślę jednak, że tych parę obrazków, które przytoczę, dostatecznie rozjaśnią Wam, kto i co i w imię czego. Zaznaczam, że obrazki prawdziwe. Dzisiaj nie ziębią mię ani grzeją. Ongiś ważyły jednak wiele. Wryły się przytem we wnętrze mej duszy tak głęboko, że nawet śmierć ziemska nie starła ich, owszem, uwyraźniła je bardziej jeszcze.

*
* *

Uprzytomnijcie sobie na moment lata dzieciństwa najwcześniejszego. Ot, przymknijcie na chwilę oczy Wasze i wczujcie się tak mocno, głęboko, w zaranie żywota swojego. Prawda — taki wtedy był świat rozwarty. Tyle radości z patrzenia na ruń świeżej trawy — na pąki drzew, na ptaszęta, na kwiaty, na wszystko — na wszyściusiecko. Tyle było radości gdy przyszła wiosna, a potem lato, jesień i zima. Na wszystko patrzyliśmy szeroko rozwartemi oczyma i cały świat był dla nas rozwarty. Poprostu czuło się we własnej duszy — duszę świata caluśkiego. Nie inaczej było i ze mną. Aż cościć zachmurzyło się w mej duszy — a zachmurzyło się dzięki prostemu przypadkowi. Pewnej wiosny — jak zresztą każdej wiosny przedtem i potem — wyruszały „dzieci na katechizm". Za mały jeszcze byłem do katechizmowania, ale starsze moje siostry w sam raz! Paulina, to nawet drugą wiosnę katechizmowania zaczynała — a więc sposobić się miała „do pierwszej komunji". Weronika, szła poraz pierwszy, by do pierwszej spowiedzi się przygotować. A ja, tak tylko, uparłem się iść. Wiem, że siostry wzbraniały mi, matka namawiała żeby mię wzięły z sobą, a ojciec zadecydował: — Chce, niech leci!

Ej, z jaką też radością biegłem, a jakże wdzięcznie na matkę i ojca patrzyłem, że zezwolili. Nawet bez szemrania „nogi umyłem" — gdy taki warunek matuś postawiła. Całe trzy kilometry nie szedłem, ale coś mię niosło. A wielka gromada nas była, bo to za dworskim stawem przyłączyły się do nas i nowodworskie i te z dworskich czworaków, a potem siedliskie, skrobowieckie — hej, ci — luda smarkatego — jak maku.

A przy kościele na cmentarzu — to jeszcze więcej nas było — bo to i z Kierzkówki, Ciemna, Samokląsk, Dąbrówki, Biadaczki, Rudki — ludu, jak na największym odpuście.

* * *

Pierwszoroczniaków ksiądz wikary ogromadził w rogu cmentarza przy pomniku „majora wojsk polskich". Co tam i jak tam było — nie pamiętam w szczegółach. Ale to nic nie znaczy. Zasadniczo rozpoczęło się tam „wprowadzanie w życie chrześćjańskie" malutkich pogan i poganek. Nie pamiętam co ksiądz mówił — wiem tylko, że po odmówieniu wspólnej modlitwy, któryś z małych pogan oskarżył innego poganina. O co mógł go oskarżyć? Może jeden drugiemu ze zbytków nogę podstawił? A może zaklął na cmentarzu „psiakrew"? A może o to, że „cojce jojka wybroł" — a on, skarżący, akurat to widział? W każdym bądź razie któryś któregoś oskarżył o jakiś „czyn niechrześcijański". Nawiasem trzeba dodać, że i pierwszoroczniacy byli już zorjentowani od swych rodziców i od księdza z ambony — jakoteż i od starszych swoich kolegów drugoroczniaków, że o wszystkiem, co tylko „złego" się zauważy, trzeba księdzu powiedzieć. I — jeszcze raz trzeba to przyznać — poganków ie i poganki naogół solidnie wywiązywali się z tego obowiązku, zyskując pochwały, a nawet pogłaskanie dłonią księżą — po zwichrzonych czuprynkach. Rzecz inna, że żaden z oskarżających nigdy siebie samego nie oskarżył — ale za to sumiennie obowiązek skarżenia wypełniał w stosunku do bliźniego sobie poganina czy poganki. No — ale mniejsza z tem. Ciekawsze, jak też ówczesny jegomość zaczął „wprowadzać w życie chrze-

ścijańskie" oskarżonego poganina. Bardzo prosto: *wyznaczył dwóch do trzymania, a trzeciego by łoił, a mocno, bo jeśli nie — to bijący musiał się kłaść, a bity prał. Przyczem jegomość miał trzcinę, którą — wyznaczonemu przez się oprawcy w rękę wtykał.*

Odbiegnę jednak na moment od sceny pod pomnikiem cmentarnym. Natomiast powiem o tem, o czem zapomniałem na początku powiedzieć. Mianowicie: scena pod pomnikiem cmentarnym odgrywała się w tym roku, w którym uprzednio byłem mimowolnym świadkiem zabijania świni. Z początku patrzyłem z ciekawością jak kilku tęgich chłopów chwytało ofiarę. Powalili ją na ziemię. Kwiczała w niebogłosy. Patrzyłem — bo zdaje mi się — nie zdawałem sobie sprawy o co chodzi. Dopiero gdy inny wydobył błyszczące żelazo z za cholewy i kolanami przywarł do świni — wtedy mocny spazm mię opanował. Uciekłem za stryjową stodołę — uszy zatkałem — ale rozdzierającego kwiczenia mordowanej świni nie mogłem zdusić. Ile ja wtedy wybeczałem się. Pamiętam, matka długo mi później tłomaczyła, że *„świnia duszy niema"*. A ojciec śmiał się ze mnie i udawał „twardego" — choć miałem możność później zauważyć, że, jeśli tylko w pobliżu miało być „bicie świni" — zawsze mu śpieszno było w pole lub do lasu.

Zapytacie zapewne, co to ma wspólnego ze sceną na cmentarzu. Właściwie, macie rację, bo żadnego związku logicznego w tem niema. Tyle tylko, że, gdym spostrzegł jak poganie innego poganina ku ziemi dławią, a inny poganin staje już gotów z trzciną księżą w ręce, taki sam spazm mię chwycił — jak wtedy, gdy świnię zabijano. Nawet wydało mi się, że ta trzcina podobnie mieni się w słońcu, jak owo żelazo którem zabijano świnię. I — ten poganin ku ziemi przytłoczony — podobnie „zakwiczał". Jak długo mógł „kwiczeć" — nie wiem, bo uciekłem z cmentarza. I do dziś dnia nie wiem — kto zacz był ten wikary: czy był masonem, wolnomyślicielem, czy też jakim innym przeciwnikiem wiary — nie wiem. Za to wiem, że nie zdołał oderwać od wiary ojców ani mnie, ani rówieśników moich, choć w niejednym z pośród nas sponiewierał duszę nieśmiertelną.

*

* *

Ksiądz Jan Zieja ubiegłego lata tak oto w „Młodej Myśli Ludowej" powiadał: — „Więc jeno proszę Was bracia i siostry, młodzi i starsi, działacze ludowi byście zechcieli dobrze poznać Kościół święty i przypatrzeć się temu, co macie w myślach swoich i pragnieniach swoich dobrego — a z pewnością dojrzycie, że wszystko to w daleko piękniejszej i pełniejszej postaci ma w sobie już oddawna święty Kościół powszechny — matka nasza — i my — to wszystko dobre „nasze" „demokratyczne", „postępowe" i „nowe" — z niej mamy! Trzeba to tylko szczerze i z radością wyznać i... pójść do spowiedzi świętej. — Wstaniemy z klęczek mocniejsi! Wiedzą o tem ci, którzy już tak czynią".

Tak — to wszystko prawda — pamiętam. Gdy mnie już „w życie chrześćjańskie wprowadzono"—wstawałem z klęczek nie raz, ale szereg razy. Coś do piętnastego roku życia. Wiem, że za każdym razem szedłem z głębokiem przewertowaniem samego siebie, szedłem z dużą wiarą

i ufnością ku czemuś tajemnemu. Zdaje mi się, że ówczesny stan mego samopoczucia możnaby określić słowami ks. Zieji wypowiedzianemi w „Ateneum Kapłańskiem“: *„widzenie tej prawdy, że tylko Bóg jest tym, który „nowe czyni wszystko” i w Nim i z Niego jedynie można zaczerpnąć mocy prawdziwie, istotnie, od wnętrza nas odnawiających”...* — to widzenie miałem odsłonione. I to widzenie nakazywało mi wyspowiadać się — ot, z drobnostki prawie — za zerwanie gruszek u wuja rodzonego. Szedłem „na gruszki“ bez odczuwania, że popełniam „grzech“. Zajęty byłem zbytnio sprawą wśliznięcia się do ogrodu. Dopiero na gruszce coś mię tknęło — ale nie to, że kradnę. Hen, zdala, od kościoła, niesło się bicie dzwonów. Procesja — bo to niedzielny był dzień. Taki śliczny — pełen słońca i ciszy. Źle się poczułem w sobie. Świat się począł jakby „zawierać“ przedemną. Znikało we mnie poczucie jedności z duchem świata. Zaczęło przesłaniać mi się „widzenie prawdy“. Wprawdzie — nie umiałem wtedy tak określać swego samopoczucia się — ale tak się czułem. Poszedłem więc do spowiedzi i mniejwięcej tak oto usłowniłem swoją biedę:

— W samą sumę gruszki wujowi oberwałem...

Coś jeszcze chciałem mówić, ale już nie zdążyłem. Bo oto sięgnął wikarjusz do mojego ucha i wyszarpując mię od kratki, syczał złym głosem:

— Precz stąd! ty hyclu — precz! Za miesiąc przyjdziesz...

Ludziska wokół skupieni wybałuszyli gały w stronę konfesjonału. A ja z klęczek nie wstawałem. Nie rozprostowałem się. Wyczołgałem się raczej — i jak ten zbity psiak — wyciskałem się skurczony w sobie — ku wielkim drzwiom. Tu i owdzie ktoś mię ofuknął — ktoś szturgnął — ktoś przydepnął — a we mnie coś wyło, coś piersi rozsadzało — w krtani przemożnie dławiło — o, Jezu — Jezu! — coś wołało we mnie. Gdy wreszcie wydostałem się za wielkie drzwi — biegłem wprost przed siebie. Przesadziłem parkan cmentarny akurat w tem miejscu gdzie stał pomnik „majora wojsk polskich“; w tem samem miejscu, w którem poraz pierwszy cościć zachmurzyło mi moją duszę ongiś jeszcze dziecięcą prawie —

W pola biegłem. Gonił mię zły głos: — precz, ty hyclu, precz! Daleko w pole zagoniło mię to złe warczenie. Dopiero na dalekich odludziach przywarowałem do ziemi świętej i tam we własnej modlitwie i we własnych łzach i skurczach duszy chłopaczyńskiej powoli się odnajdywałem. Wróciło „widzenie prawdy” — i rozwarł się przedemną duch świata.

I — tak, to prawda — mocniejszy wróciłem do domu.

I — do dziś dnia nie wiem — kto zacz był ten kapłan: sługa boży to był, czy też przeciwnik Boga — mason — wolnomyśliciel — czy też jaki inny wróg Kościoła. Wiem jednak jedno: od wiary ojców moich nie zdołał mię oderwać — ani też nie zmógł we mnie człowieczości —

Zdaje mi się, że w odniesieniu do podobnych wypadków ks. Zieja (w tem samem „Ateneum Kapłańskiem”) — między innemi powiada:

„Dla sprawiedliwości dodam, że i w tych „odgórnych” patronach ruchu wiciowego jest też i dużo szczerej dobrej woli — ale i dużo bolesnych nieporozumień i niezrozumień...”

To prawda. Trudno przecież uogólniać jakiś wypadek odosobniony. Nie każdy ksiądz jest kapłanem — a znalazł się i taki co był sadystą — znalazł się i taki, co nie był wychowawcą. Trafił taki na wrażliwego i narobił wrażliwcowi biedy — ot, i tyle.

Chociaż — to nietylko tyle. To coś więcej. To powszechna metoda „wprowadzania w życie chrześćjańskie" wiejskich chłopiąt i chłopaków — dziewczynek i dziewczyn. Czyż nie walczą księża z „Wiciami" odpędzaniem od konfesjonałów — młodzieży wiciowej? Czy idea bata — jako najlepszego wychowawcy — nie zaczyna się odradzać w mózgach współczesnych filozofów chrześćjańskich?

* * *

Po tem wszystkiem mogę już odpowiedzieć sobie na postawione na początku pytanie: — chrześćjaninem jestem — od wiary ojców nie dałem się oderwać. Jeśli zaś chodzi o spowiedź to wnioskuję: żeby to ludzie doskonali wsłuchiwali się w biedy ludzkiego sumienia, to juści, niejednemu sumieniu pomogliby sprostować się — okrzepnąć. Ale przecież to ludzie niedołężni i najczęściej pokoszlawieni we własnem sumieniu, a przez to tacy beznadziejnie niewyrozumiali i mstliwi i tak bardzo skorzy do potępiania i wyklinania.

Pozatem: — o co właściwie chodzi? czy o wtajemniczenie księdza w fakty będące wyrazem słabości, czy też o wyraz woli wzmocnienia się wewnętrznego, ażeby poczynania mogły być zgodnemi z sumieniem?

* * *

A przeto — choć jestem chrześćjaninem — nie robię sobie wyrzutów, że bez spowiedzi Stacho Sakłaków mię uśmiercił i za pogaństwo potępił. Wolę teraz — po śmierci — wyspowiadać się publicznie. Nie przed księdzem w tajemnicy, ale przed tymi wszystkimi, których księża precz od konfesjonału przepędzili. A jak powiedziałem — rzecz będzie się rozgrywała *„o wewnętrzne życie wsi"* — bo to po wujowych gruszkach — największy dzisiaj mój grzech. Jest to jednak dopiero pierwsza kartka starej księgi „Zend Awesty" — przez której „wąski pryzmat" — spojrzałem na życie. *(c. d. n.)*

Tym wszystkim Prenumeratorom, którzy nie uiścili jeszcze zaległej prenumeraty za ostatnie kwartały ubiegłego roku — od najbliższego numeru wstrzymamy wysyłkę «Młodej Myśli Ludowej»!

WINCENTY BUREK

STRAJK

(Reportaż)

Zażywna jesień wyszła se na spacer i chodzi po świecie. Zajrzała do wsioskich zapłoci i jest rada, że tyle chleba rozpycha się po stodołach i po stertach obtężnich. Ucieszyła się z gadziny mnogiej i spaśnej. Wylazła wesoło spośród podokoli, żeby się popatrzeć na pola nagrzane, pulchne, zawszeć jeszcze strojne. Rozwłóczą się pola w migocie słonka, co zagląda popod każdą bryłkę i wygania na wierzch cienkie piórka posiewu. Posiew najeżył się jak szczota, wiater z zachodu całuje ruń, wiater szeleści w zeschłych badylach ziemniaków. W całem okolu roznosi się spokój i dosyt i nadzieja ucieszna. Świat się rozdziawił jarym śmiechem. Swoje zrobił, plonów nasporzył, każde stworzenie zachyłek na ciężki czas ma — to i co? To się ino weselić, człowieku, ostatkiem ciepłych dni, przaśnym zapachem zruszonej ziemi, zwaleniem z barków najtwardszej roboty. Radować się w rozruchu chłopskiej fantazji — i więcej nic! Więcej nic...

A przecież radość chłopska nie chadza pod pachę z sytną jesienią. Radość nie przegląda z chłopskiej gęby. Niema jej tu, schowała się kajsić, że ani jej odszukać. Radość uszła chyłczkiem, a na jej miejsce wylazł frasunek, zgłoba, osowiała mina wszystkiego wsioskiego pogłowia. Przepadła bujna radość, odleciała ptakiem. Żeby już widać nie powrócić w opłocia zaciszne.

Od chałupy do chałupy rozsnuwają się coraz żałośniejsze wieści. Podają je sobie ludziska w zgryzocie i smutku. Dzielą się pospołu skwitłym chlebem nowiny. Społecznie łatwiej przecie przenieść ugniot złego czasu. I ulżyć se ogadaniem w gromadzie. Ano i klątwą i zemstą. I tą myślą szukaną dla odporu. Myślą hardą i twardą. Jak ta dola — twardą.

— Za psi piniodz oddać musis, coś za rok upracował — przewija się ten żal po drogach i chałupach. — Beleco wortos, chłopie, i ten twój sofuł na polu i w oborze.

— Nikt o ciebie nie stoi, choć ta wszyćko pono na tobie się opiro.

— Juścize, juści. Siejes dobro, a krzywde zbiros.

— Na jarmaku krzywda.

— Na podotku krzywda.

— Kumorniki, zokucniki krzywdzą.

— Kroku nie postawis, żeby ci naprzeciw nie wysła jaka krzywda.

— A cy to nima rady? Nima sposobu?

— Byłby sposób, nalazłaby się rada, ino zeby...

— Zeby co?

— Zeby sie tak wziąć narazem.

— A to sie brać! To sie bronić i sie nie dać!

— No, to walaj! Nima to u nos siły, cy jak?!...

Po zapłociach chodzą chmurne głosy, zmawiają się w naradzie, pomrukują groźbą. Pobrużdżone twarze skrzepiły się na hart od upartych

myśli, co się rozkołowały w chłopskim świecie, zalazły tu głęboko i teraz chcą kiełkować. I plonować skutecznie. Pożytek przynieść. A pok zać kaj potrza, co chłopska myśl zmajstruje, jak zechce.

*

* *

Poniedziałkowy dzień supłał się niemrawo, jakby się wałkonił po niedzielnem wypoczywaniu. Słońce gramoliło się po czystej niebieskiej powale i syciło ciepławą treścią wsioskie okole. Jesienny przełysk leżał powszędy nieruchawy i blady. Leżał w pogodzie, do wygody.

Dzień zrobił się duży, słońce wspięło się na walną wysoczyznę, ale na wsi nie widać zwyczajnego rozruchu i krzątaniny. Pola stoją opuszczone, choć role wołają o podorywki, tu i ówdzie jeszcze są ziemniaki do kopania, a tam buraki odkrywają się spośród radlonek. Po polnych drożynach nie ciągnie się nikt, chyba ino te krowy wzbijają kurz i drepcą na pasionkę w mglistym obłoku. Wedle wsi leci gościniec, niezgorszy trakt na okolice. I ten gościniec zamarł dzisiaj, nie turkocą po nim wozy, nie roją się nieskończonym sznurem w tamtą stronę, ku miastu. Zmartwiały wsie, pola. Martwota chodzi po drogach, po gościńcach.

A przecie dzisiaj jarmark w Sandomierzu, odwieczny targ przy poniedziałku. Jak wieś wsią, zawsze o tym czasie ciągnął się chłopski naród z najdalszego okola, jechał furmankami po miastowe sprawunki. W latrach, wasągach, półkoszkach wypuczały się obgrubnie wory zboża na sprzedaż, gospodynie prymiły się kopiasto i werenowały na podołach koszyki z jajami, masłem, serem, a w fałdach, spódnic krzekorzyły powiązane kwoki i kogutki. Zawsze o tym czasie szedł ściąg zewsząd, waliła chłopska procesja furmanek, buczały drogi, zapełniały się rynki miasta, ulice i uliczki, place i targowiska. Zawsze i bez odmiany tłoczyły się tam kaszkiety i kwieciste chustki, zapełniały sklepy, zalewały każdy kusiołeczek miastowej przestrzeni, szumiały i huczały rozgwarem głosów, przyjacielskich gadek, sporów i przetargów. Aż kipiało śród murów, aż rozdymało miejską ciasnotę. Wieś przychodziła do miasta po interesie!

Dzisiaj wieś do miasta pójść nie poszła.

— Chłopski strajk!...

Nie znali tu tego słowa i sposobu, co się w tem słowie pomieszcza. Nie znali, bo i znać nie było potrza. Różne ta nachodziły czasy na wieś, złe i dobre jak to w chłopskiej doli, ale na taki układ i manier nigdy — przenigdy zdarzyć się nie zdarzyło. W chorym śnie się nie przyśniwało. Krótkim pomyślunkiem w głowie nie pobyło. Aż dopiero teraz...

Zły czas, krzywdy i niedole pospólne narodziły tę jedną wolę. Żeby się oprzeć i pokazać co umiemy. Jankurny naród wsiowy, tyle skłócony i rzadko zgodny na jedno, tutaj potrafił pójść w foremnej zgodzie i jedności. Że niech przepadnie chód w pojedynkę, a niechże nastanie społeczny marsz wielką gromadą. Do gromadzkiego celu. Dla gromadzkiego dobra. Tak i nie inak!

— Ani ziorka do miasta!

— Ani krokiem stąpnąć na mieście!

— Znojdzie sie Judos — nie puścić!

— Z drogi prześcigać!
— Strajk!
— Rolny chłopski strajk!...

* * *

Na Ocinku tosamo. Tosamo co na Wysiadłowie, na Radoszkach, w Dobrocicach i na całej sandomierskiej rozciągłości, poutykanej różańcami zagród, ugniecionej dopustami bidy niezgonionej. Tensam dech wieje ponad wsiami i napełnia dusze nieugiętą hardością i oporem na prawo zwyczaju i nawolnej potrzeby. Obejdzie się pańskie wesele! Zobaczymy, kto wytrzyma i kto się też bez kogo obejdzie. My dzisiaj wytrzymamy. Będzie zamało, to jeszcze się poprawi. Nie raz się poprawi, i nie dwa!

Niedzielne popołudnie zeszło na naradzie. Kiedyindziej trudno byłoby zebrać do kupy wszystkich Ociniaków, dzisiaj pozłaziła się ich pod sołtysa cała hurma. Starych i młodych. Przyjaciół i wrogów zabitych. Przeczytali to pismo od chłopskiej władzy w tych stronach, każdy poczuł, że na lepiej ono kieruje, rozebrali pospólnie ten pisany skład, obgadali, rozejrzeli akuratnie i: —

— Stajemy za drugiemi!
— Zawroz gromadą!
— Jednem duchem!

Ano to w poniedziałek zabaczyła wieś nascet, że to poniedziałek. To nic, że to i owo przydałoby się sprawić tam w mieście. Że i jaki gałach zdałby się na grzbiet i w kuchniach pozabrakło tego gasu, soli czy mydła. Nie będzie machory, to nie będzie. Nie kupi się omasty, to i mlekiem warzę się ozykoli — i już. Chłop więcej przetrzymał, to i tym niedogodom zradzić zradzi. Od tego chłop!

Robota stojąca nie ciągnie, bo przecie nie pili. Robota w polu nie ucieknie, a teraz potrza popatrzeć, jakto wieś wygląda w czasie, jakiego tu dotąd nie widywali. Czy kto się aby nie oderwie, nie osłabnie, nie spróbuje chyłczkiem się wywinąć z obejścia naprzekór tym inszym nieugiętym. Nie, wiadomo jak i skąd wyłazi milkliwa nieufność, budzi się czujna ostrożność do ludzi. Mogli się wczoraj zaprzysięgać a zaklinać, że się nie odrzekną od strajku, ale dzisiaj nowy dzień, a z nowym dniem — insze stanowienie. Człowiek — to człowiek, słaby ułomny człowiek, harpeżny na zysk, na zdobycz. Kto wie?

Nikt się przecie nie odłupywał od zwartej jak mur gromady. Przemijała późna godzina koło południa, wlókł się nieskory czas w wyczekiwaniu na coś, co zdarzyć się jeszcze może. Chłopy i parobczaki snuli się gromadami po drodze, rozprawiali chybko i z rozmachem o dniu tym. Tak ważnym, tak niebywałym.

— Strejk się udoł. W mieście nima zywy dusy. Pies z kulawą nogą cheba się tam zabłąkoł — polatywało od gromady do gromady. Na gębach błyskotała uciecha i twarda skamieniała moc.

Pomału zaczęli się rozchodzić po obejściach. Swoje zrobili, czasu mitrężyć żal. Do roboty na przedobiedziu iść trza!

Raptem zadudniły koła. Suchy trajkot rozklekotał się na drodze zaraz za wsią. Ktoś wdyrdy gnał szkapska, jakby mu gdzieś strasznie było pilno.

Ten i ów poskoczył za stodołę, żeby popatrzeć, komu się tak spieszy. I wnet przeraźliwe krzyki rozleciały się po wsi:

— Stasiok Siajniaguła jedzie!

— Do miasta pędzi dowyrypu!

— Trzymać!...

A tam na drodze już się zaczęła gonitwa. Skoro ino z obory wyjechał, już go poczuli sąsiedzi i wypadli za furmanką z rozwrzaskiem. Stasiok lał koniom bata po bacie, trząsł lejcami, z siedzenia omału nie wyskakiwał w warjackiej jeździe. Tamci z tyłu pospieszali na piechtę ile sił w nogach, tyrtolili się zziajani i nie mogąc dopaść do furmanki wydzierali się w biegu:

— Łapaj! Na pomoc!...

Już ode wsi gnały hurmy chłopstwa. Ktoś dopadł szkapiny i naoklep rwał z kopyta. Pościg szedł długą linją. Ku przodowi uciekał Stasiok, konie gnały jak hamany, z pysków bryzgały im płachetki piany.

— Zabiegoj!

Walnie już się odbił od pościgu. Oglądał się coraz i widział, że tamci ostali daleko wtyle. Jeszcze ten zakręt ino — i droga prosta a równa!

Ten zakręt stanął Stasiokowi na zdradzie. Zakręt rozwinął się w głębokim wąwozie, wąwozem akurat szło bydło z pola i zaczem Stasiok podjechał do wylotu, a już tam wpoprzek stał Wielgi Franuś na szkapsku. Naprzełaj dobiegało paru chybkich parobczaków. Krzyki leciały nad głową furmana.

— Stój, dryniu! — zadarł się Wielgi Franuś i grodził drogę chabetą. — Nie wyskwinies sie, ty Siajniaguło harpeźny!...

Stasiok grzmocił zganiane konie grubszym końcem biczyska, ale gady już nie spotrafiły wydolić. Pobok Wielkiego Franusia zaroiło się od parobczaków. Stach Tworogoscyk leciał na Stasioka i ułapił go za skrzyl. Stasiok gibnął się raptownie i bachnął w półkoszek. Konie szarpnięte lejcami — stanęły.

Stasiok zerwał się — i do kłonicy. Ale ręce nie zdążyły wyszarpnąć tęgiego drewna. Hurma zwaliła się na chłopa.

— A wy cholery zbóje! Puscoj! Poszoł ode mnie! — piszczał zduszony Stasiok pod kuksańcami. Okładali go garściami gdzie popadło. Wyzwiska i ciężkie klątwy długo się tłukły u wybiegu wąwozu...

B. W.

„RAZ NA LEWO, RAZ NA PRAWO"

Kol. Orkacz, omawiając w grudniowym numerze „Młodej Myśli Ludowej" uchwały ostatniego Zjazdu Walnego Zw. Mł. W. R. P., oświetla je z tak „swoistego" punktu widzenia, że trudno z nim nie polemizować Czytając ten artykuł, odnosi się wrażenie, że autor szamoce się z czemś

czego zapewne sam nawet nie umiałby nazwać. Nie jestem bynajmniej jednym z tych zwalczanych przezeń marxistów, gdyż zdaję sobie dokładnie sprawę, że doktryna Marxsa bierze za punkt wyjścia przedewszystkiem potrzeby mas proletarjacko-miejskich. Potępiając jednak jedną skrajność, nie widzę potrzeby wpadania w drugą. Bo pomimo nawoływań, żebyśmy nareszcie skończyli z dreptaniem na prawo i lewo, pomimo nawet wysuwanych tu i ówdzie zastrzeżeń przeciw liberalizmowi, sam autor zbyt wyraźnie drepcze w granicach tego ostatniego.

W dodatku wywodom jego brak zupełnie kręgosłupa, co pozwala mu na formułowanie postulatów nie koniecznie ze sobą zgodnych. Ze względu na brak miejsca nie będę tu przechodził po kolei wszystkich przez niego poruszanych zagadnień, zajmę się tylko kilkoma, które najbardziej mnie zaintrygowały.

Otóż w pierwszym zaraz ustępie autor udowadnia, że psychika narodu decyduje o jego formach ustrojowych. Sielankowej psychice słowiańskiej przeciwstawia przytem nordycką systematyczność i ścisłość. Nie będę tutaj przytaczał przykładów na dowód, że równie dobrze zmienione formy życia społecznego potrafią przekształcić psychikę narodu, zwróce tylko uwagę na nielogiczność, jaka się znalazła w końcowych zdaniach tego ustępu. Mianowicie skąd w niewątpliwie słowiańskim ruchu „wiciowym" znalazła się ta druga — jak mówi Orkacz — nordycka mentalność. Czyżby jaki najazd germański? A jeżeli nie, to prosty stąd wniosek, że nawet bez zmiany ustroju psychika może ulegać przemianom. Niewątpliwie pewne typy wyłamują się z pod ustalonych norm społecznych i takimi są właśnie Cyganie. Ale to jeszcze nie powód, żebyśmy i my mieli wrócić do życia koczowniczego, które niewątpliwie poprzedziło okres rolnictwa.

W dalszym ustępie spotykamy definicję pojęcia *radykalność*. Jest to, według kol. Orkacza, stosowanie ostrych a przedewszystkiem skutecznych środków. Przypuśćmy więc, że cały nadmiar ludności wiejskiej w Polsce, wysiedlonoby w tej chwili do Brazylji, nie zmieniając przytem wadliwej struktury rolnej. Byłby to środek ostry i w danej chwili niewątpliwie skuteczny, ale czyżby po kilkudziesięciu latach nie wrócił znowu stan obecny?

Otóż radykalizm polega na rewizji *od podstaw* dotychczasowych zasad i pojęć. Powtarzam — od podstaw — bo słowo radykalizm pochodzi od łacińskiego: *a radice* — dosłownie od korzenia. Dlatego też, podkładając taką treść pod to słowo, bynajmniej nie mogę nazwać radykalnemi, tych trzech, poza reformą rolną, na nędzę chłopską proponowanych przez autora, recept. Na ich tle kol. Orkacz wygląda nie na radykała, lecz raczej na lekarza ustroju kapitalistycznego. Bo czyż można sądzić, że po wprowadzeniu tych postulatów w życie, uniemożliwi się powrót kryzysu po pewnym czasie? Czy raczej nie wygląda to na stosowanie doraźnych środków zapobiegawczych?

Twierdzę, że przy zachowaniu obecnej struktury społecznej nie zapewnimy chłopu należnych mu możliwości rozwojowych. Sprzeczne zresztą z podkreślaną przez kol. Orkacza zasadą demokracji, godzenie w żyda dlatego, że jest pośrednikiem i lichwiarzem, bynajmniej zła nie wyruguje. Na miejscu wypędzonego żyda znajdzie się polak, który w obecnym ustroju tak samo będzie wyzyskiwał chłopa. Pasorzyta-handlarza usunie jedy-

nie zupełnie zmieniona forma wymiany dóbr, jaką niesie ze sobą spółdzielczość.

Następnie ciekaw jestem, dlaczego mamy oszczędzać kapitalistów, jeżeli są już trupami? Czyż tolerowanie trupów, rozkładających się i zatruwających powietrze nie jest conajmniej lekkomyślnością? Chyba, że chcemy ich zabalsamować i na wieczne czasy schować.

Naturalnie, jeżeli się z całokształtu jednego ustroju społecznego pewne tylko drobne wycinki przenosi na tło drugiego, to wówczas wypadają najrozmaitsze paradoksy, jak n. p. porównanie Magnitogorska z Gdynią. Takim to właśnie postulatem zupełnie realnym, w logicznie rozbudowanym spółdzielczym ustroju gospodarczym, przy zachowaniu rozumnie pojętej wolności jest planowość. Przy obecnej strukturze społecznej, będzie to rzeczywiście nic innego, jak „wtręt państwa"; nie trzeba jednak sądzić, że planowość wyklucza autonomję gospodarczą.

Wspomniane przezemnie na początku artykułu dreptanie ku liberalizmowi występuje najjaskrawiej w ustępie poświęconym stosunkowi faszyzmu do demokracji. Kol. Orkacz na sztandarze demokracji widzi jedynie hasła *wolności* i *równości*, zapominając zupełnie o trzecim składniku tej dewizy, a mianowicie — *braterstwie.*

Otóż pominięcie tego trzeciego hasła charakteryzuje właśnie liberalizm, który dlatego głównie stał się antydemokratyczny. Przecież nie co innego, jak braterstwo wyznacza granice wolności i równości, które bez niego prowadzą do bezwzględnej i okrutnej rywalizacji. To też, jeżeli ruch ludowy ma być naprawdę demokratyczny, nie wolno mu, na sztandarze swym pominąć żadnego z tych trzech składników.

NOTATKI

CZEMU SIĘ DZIWIŁ KSIĄŻE PAN RADZIWIŁŁ.

Parę tygodni temu odbył się w Krakowie „obiad" przyjaciół „Czasu", organu sanacyjnych konserwatystów. Książe Radziwiłł, podpora i ozdoba „odrodzonej" radośnie i twórczo „demokracji", członek starego rodu magnackiego (na którego to domu cześć i sławę, na pewnej uroczystości w Nieświeżu, sam „czynnik decydujący" wznosił nie tak dawno toasty) podczas owego „obiadu" w Krakowie, mówiąc o okolicznościach, wśród jakich uchwalano w sejmie „carskie" tezy konstytucyjne, takie oto wypowiedział słowa pod adresem naszej parlamentarnej opozycji.

„Można się oczywiście spierać o te lub inne paragrafy regulaminu, o te lub inne przepisy konstytucji, która jest — powiedzmy — szczątkowym zabytkiem czasów, które już minęły. W czasach, gdy na ulicach Wiednia grzmią armaty, gdy w Paryżu dochodzi do rozruchów, gdy Hitler siłą przeprowadza głębokie przeobrażenia Rzeszy niemieckiej, gdy marsz na Rzym Mussoliniego już należy do historji, upieranie się i wojowanie paragrafami regulaminu, mogącymi być tłumaczone w ten czy inny sposób, jest rzeczą śmieszną, jest dziecinną grą, nie liczącą się z tem, co nietylko w Polsce się dzieje, ale z temi głębokiemi wstrząsami, które dziś świat cały przechodzi. To jest najprostsze wytłumaczenie, dlaczego się tak stało!".

— Jakkolwiek osądzałoby się taktykę opozycji w momencie uchwalania tez konstytucyjnych w Sejmie, nikt nie może jej brać za złe tego, że stała na stanowisku prawa, a więc regulaminu sejmowego i konstytucji, że tego prawa broniła i, że bezprawie nazywała bezprawiem. Prawo jest po to, aby je szanować. Wrażliwość na nakazy prawa i respektowanie go jest nietylko świadectwem kultury życia zbiorowego, jest nietylko kwestją dobrej woli ale jest elementarnym obowiązkiem, za niedopełnienie którego w normalnym biegu rzeczy, idzie się do kryminału. Prawo w życiu publicznem zaczyna być lekceważone i łamane nagminnie wówczas, gdy sprawy tego życia dostaną się do rąk ludzi o moralności i umysłowości włamywaczy czy innych rzezimieszków. Książe Radziwiłł, który w swojej „wysokiej kulturze" starego polskiego magnackiego rodu zbliża się od „kultury" włamywaczy i rzezimieszków, ulega, jak widzimy bardzo łatwo sugestji pięści i rewolweru. Powołuje się na Hitlera i Mussoliniego i nazywa dziecinną grą, powoływanie się na paragrafy. Pięść, rewolwer — to dopiero dla niego argument. Tylko ciekawi też jesteśmy, coby tenże, o wiekowej szlachecko-magnackiej „kulturze", książe powiedział, gdyby tak pewnego pięknego poranka przed własnym nosem ujrzał — powiedzmy — obok pięści i rewolweru także pachnącą chłopskim potem i żywicą zwyczajną kłonicę! Albo — coby powiedział, gdyby tak jego obszary, będące „szczątkowym zabytkiem czasów, które już minęły", w imię tych „głębokich wstrząsów", idących światem, chł pi zaczęli pewnego poranka dzielić między siebie, mierząc je biczyskiem i zaorywać. A może sie to stać naprawdę, gdy wieś uzna za stosowne przejąć się „kulturą" Radziwiłłów.

GADU, GADU...

Ciężko jest na wsi — bo ciężko, goło — bo goło, ale są też powody i do uciechy. Oto od czasu do czasu, mamy możność czytać w politycznych pismach ludowych, że nie jest jeszcze najgorzej. Bo na takiem, a takiem zebraniu ludowem, dajmy na to, w Głodowie albo innej Zlicytowanej Woli, ten lub ów działacz ludowy w dwugodzinnem przemówieniu „zdruzgotał" do szczętu system sanacyjny, za co go wdzięczni słuchacze „nagrodzili niemilknącemi oklaskami". Czasem zaś dla odmiany, zwłaszcza, gdy na zebranie w miejscowości, która mogłaby się nazywać również i Mandaty Starościńskie, przyjedzie ktoś z samej Centrali, n. p.: prezes W. lub prezes X. (prezesów w Stronnictwie Ludowem „u góry" jest chwała bogu kilku, aby się stało zadość przysłowiu o sześciu kucharkach) — czyta się potem w sprawozdaniu, że prelegent w „mistrzowskich" słowach rozprawił się z obozem gnębicieli mas chłopskich. W nagrodę były znowu oklaski „przerywające mówcy" — i uchwalone dla niego votum ufności, które potem musi być wydrukowane w gazetach, jako zdarzenie wielkiej wagi — tłustym drukiem. Nie jest więc tak źle. Jest szarzyzna życia i nędza ale są i kwiaty „mistrzowskiej" wymowy. Jest zły system, ale jest coś, cogo bez wielkiego nawet trudu „druzgoce". Gdy tak dalej pójdzie, to już niedługo z sanacji nawet paździor nie zostanie.

„BOH TROJCU LUBIT!"

Lud jest przesądny i wierzy często w różne gusła, czary i najrozmaitsze kabały. Gdy naprzykład przejdzie chłopu drogę baba, ksiądz, albo zając, wierzy, że mu się coś złego stanie. Również, gdy sekwestrator przyjdzie do chałupy, wiadomo, że zaraz coś zginie. Zegar ze ściany, stół, albo krowa z obory. Ten ostatni przesąd zagnieździł się na wsi w czasach ostatnich, za „radośnie" nam panującej sanacji, kryzysu, głodu i innych epidemij. Ale są też pewne przesądy, które są wyłączną własnością niektórych polityków ludowych. Takim przesądem jest n. p. wiara w cudowne właściwości *trójki*. We władzach stronnictwa są *trzy* prezesury i *trzech* prezesów. Liczba wybieranych członków

Rady Naczelnej dzieli się przez *trzy*. Liczba członków Naczelnego Komitetu — dzieli się przez *trzy*. Z terenu dochodzą czasem odgłosy, że na zjeździe takim, a takim zaznaczały się różnice zdań, które dałoby się ująć w *trzy* różne punkty widzenia zwłaszcza, gdy chodzi o wybór takiego lub owakiego zarządu. Na jednem z ważnych zebrań stronnictwa pewien już nawet dosyć sędziwy działacz ludowy wystąpił wskutek tego z teorją, że w *trójce* jest zbawienie chłopskie, tak jak w Trójcy Świętej zbawienie chrześcijańskie. Takie jest polityczno-ludowe kabalarstwo i *kawalarstwo*. Młodzież „wiciowa" podczas świąt wiosny pali często symboliczne kukły ciemnoty i przesądów. Czasby już wreszcie, w jakieś święto wiosny, utopić w rzece kukły tego zabobonu i kabalarstwa. Czas najwyższy, aby młodzież przypuściła szturm do tych pozostałości smutnych czasów w ruchu ludowym.

Antek Jałowiec.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Edward Szymański. — DO MIESZKAŃCÓW MARSA — Warszawa, 1933, str. 64.

Z konieczności ograniczać się muszę do szukania w książkach, z których zdaję sprawę, patrzenia autora na wieś, względnie wiejskiego patrzenia na świat. W zbiorku Szymańskiego o tem mało. Twarde, krzepkie wiersze autora za temat mają miasto, chore miasto. Problem głodu i bezrobocia — to temat całego zbiorku. Za krzywdę — złość — to cała treść wierszy. Program polityczny autora — to rewolucja. Wśród wielu rzeczy pisanych w tym duchu, rzadko kiedy znajdzie się słowo, któreby nie powstawało właśnie „na złość". Najszumniejszy frazes o krwi i „dumnym" sztandarze czerwonym — zawsze prawie wyrasta z chęci powiedzenia przeciwnikowi: — „Patrzcie — taki ja jestem". Słowo Szymańskiego — takież same budzi we mnie refleksje. Ale poza tą socjalistyczno-wiecową frazeologją łatwo doszukać się u autora szczerych, prostych akcentów. Ten szczery akcent wybrzmiewa przedewszystkiem w pięknym wierszu „Do mojej matki".

Z innych wierszy na szczególną uwagę zasługują wiersze „Budżet" i „Kolejarze". Strofki poematu o „Budżecie" w sile dorównują wierszom Jasieńskiego i Broniewskiego. Nam najbliższe wydają się trzy nastepujące czterowiersze:

„Kiedy przyszli Kubie na Kępie
za podatki wziąć ostatnią krowę,
twarz, jak pięść zaciśniętą zasępił,
nie odezwał się jednem słowem.

Tylko głupie, chłopskie dzieciska,
nieporadne, jak wesz na kożuchu,
uczepiły się krowiego pyska,
nijakiego nie mając posłuchu.

Tylko baba, jak głodna suka,
gdy już wzięli krasulę i znikli —
skowyczeniem nagłem wybuchła
i podniosła pięść, jak wykrzyknik". (str. 30)

Wiersz „Żniwa" jest typowym przykładem patrzenia człowieka miejskiego na ład i trud wiejski. Chłop patrzy na żniwo od strony plonu, jako cudownego procesu rozrostu zboża, człowiek miejski patrzy od strony ilości i ceny. Trudno jest porozumieć się w tej kwestji wsi i miastu i będzie coraz trudniej — w tem miejscu bowiem zaczyna się konflikt światopoglądów wsi i miasta.

S. S.

Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca.

Warunki prenumeraty: Rocznie — 6 zł., półrocz. — 3 zł., kwart. — 1 zł. 50 gr.

Redaktor: **Józef Grudziński.** Wydawca: **Adam Zieliński.**

Drukarnia Oświatowa, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Warszawa, Żelazna 93, tel. 11 86-88.